Nr. 89. Lwów — Wtorek dnia 19 Kwietnia. Rok 1904.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 5 po południu z datą dnia następnego.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi w kraju i Austryi miesięcz. 2 k. 20 h
w Niemczech . . . . . 3 „ — „
w innych Państwach . . . 4 „ — „
Za zmianę adresu dopłaca się 40 „
Opłatę należy nisłać równocześnie z żądaniem zmiany adresu
Prenumerata we Lwowie miesięcznie 2 k.
Numer kosztuje we Lwowie . . 8 h.
na prowincyi . . . . . 10 h.
Numera z poprzednich dni po 20 h.

Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, opisy uczt i zabaw prywatnych, reklamy dla balów, odczytów i koncertów, spisy składek, doniesienia o zgubach, znalezionych przedmiotach i t. d. po 1 k. od wiersza.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

[illegible]

Dziś:	19	św. Emmy Wdowy	6	Eutychiusza A.
Jutro:	20	św. Agnieszki Pol.	7	Jerzego B.

Adres Redakcyi i Administracyi: **Lwów, ul. Sykstuska l. 45.**

Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.**

Wschód słońca o godz. 5 m. 14. Zachód „ 6 m. 47.

Długość dnia godzin 13 minut 33. Przybyło dnia od wczoraj 2 min.

Pruskie paradoksy.

Było to do przewidzenia, że pruska izba panów przyjmie projekt nadania komisyi kolonizacyjnej monopolu parcelacyjnego. Członkowie tej izby mają więcej sumienia, niż izba sejmowa, a mniej się poddają popularnym prądom, jednakże ich wola, etyka, przekonania zawsze kapitulują przed wskazówką z góry. Podług starej tresury pruskiej, obowiązkiem jest lojalnego obywatela zginać się w pół nietylko przed naczelnikiem, ale nawet przed jego kapeluszem zatkniętym na kiju. Ten przepis dotąd święcie obserwuje pruska izba panów. Wstydzi się, narzeka, ale robi, co jej każą. Więc też przyjęła projekt rządowy, trochę poprawiony przez komisyę, przyczem jednak dla uspokojenia sumienia biła się w piersi i umywała ręce. Rozprawa tedy miała charakter filozoficzno-moralny: każdy mówca zaczynał od tego, że projekt w zasadzie potępiał, potem zaś tworzył jakiś paradoks i wziąwszy go za podstawę dalszych swych rozumowań, dochodził do wniosku, że — niestety! — trzeba przyjąć projekt.

Z wielu paradoksów, wygłoszonych w tej izbie, niektóre zasługują na upamiętnienie. Uczynimy to w takim porządku, w jakim wypowiadano je podczas rozprawy.

Hr. Mielżyński w doskonałej mowie udowodnił, że projekt rządowy zmierza w gruncie rzeczy do rabunku prywatnej własności, bo to rzecz jasna, że jeżeli się jakieś realne przedmioty skrępuje niekorzystnemi dla nich przepisami, to owe przedmioty odrazu stracą na swej sprzedażnej wartości. Na to p. minister Posadowsky odpowiedział takim paradoksem: „Gdyby od czasów Juliusza Cezara nie naruszano prywatnej własności, toby nie mogło powstać żadne państwo.“ A więc wszystkie one urosły z rabunku. Niech mu podziękują za ten kompliment. Jeżeli jednak dopiero od Juliusza Cezara zaczęło się takie budowanie państw, to nie jest ono jedynie możliwe, bo przecież przed owym Cezarem istniały państwa. Istniały i potem, istnieją także dziś. Polska się rozrastała nie rabunkiem, ale uniami. Szwajcarya powstała na mocy dobrowolnego paktu miast i kantonów. Paradoks p. Posadowskyego jest więc tylko cynicznem ulegalizowaniem rabunku. Gdyby wszakże było niewątpliwą prawdą, że państwa nie mogą powstawać bez rabunku, to pozostaje jeszcze orzec, co lepiej usunąć ze świata: państwa, czy rabunek? Sądzimy, że nikogo nie zabolałaby głowa od tego, że zniknęłyby przynajmniej te państwa, które niczem innem nie były i nie są, jak rabunkiem.

Paradoks barona Manteuffla brzmi tak: „Moralna wartość projektu jest bardzo wątpliwa. Do etycznego kodeksu przyjąć jej nie można. Z drugiej jednak strony sprawiedliwie jest, że się Niemcy bronią od Polaków. Jako konieczny środek obronny, projekt jest zacny.“ A zatem środek niemoralny jest jednocześnie moralnym. Bywają wypadki, w których człowiek zabija zbója, aby nie być przezeń zabitym, zawsze jednak idzie przed sąd, który rozważa, ażali zabójstwo było bezwarunkowo konieczne. Natomiast p. Manteuffel z góry uznaje, że zabijanie Polaków przez państwo będzie zawsze bezwarunkowo konieczne. Nadto, można zabić, aby nie być zabitym, któż jednak słyszał, aby wolno było kraść, iżby przypadkiem nie być okradzionym.

Ciekawy jest paradoks księcia Trachenberga, byłego naczelnego prezesa na Szląsku, skąd ustąpił, bo hakata krzyczała, że jest zanadto miękki, za wielki pan, nie chce nosić czerwonych rękawiczek kata. Książę z pogardliwym grymasem mówił o wszystkich środkach antipolskich, jako wyjątkowych; prześladowania on nie pochwala, sądzi, że ono właśnie rozbudziło narodowy fanatyzm wśród Polaków, zaleca dobrem kształceniem w szkołach i życzliwością dla proletaryatu przyciągać lud do niemczyzny. Ale zaraz potem przypomniał sobie, że jest Prusakiem i od razu wywrócił kominka. Oto Austrya staje się coraz bardziej słowiańską. Stamtąd i z Rosyi podniesie się wysoka fala słowiańska, która się z powrotem potoczy na zachód, a na jej drodze najpierw leżą Szląsk, Poznańskie, Prusy książęce i królewskie, całe Pomorze. Zawczasu trzeba się bronić! Gdzie wojna, tam nietylko muzy, ale także wszelkie pojęcia o sprawiedliwości milkną. A zatem — tu paradoks — wszystko jest dobre, co się czyni dla dobra niemieckiego narodu.

Takie są pruskie paradoksy. Nawet w nich się uwydatnia charakter społeczeństwa.

Z widowni wojny.

Wice-admirał Skrydłow, następca Makarowa, który ze swym pancernikiem „Pietropawłowsk“ poszedł na dno morskie, ma w swej wojskowej przeszłości jeden czyn zuchwały, nieledwie szalony, który na zawsze jego imię opromienił sławą.

Było to 8 czerwca 1877 roku. Nad Dunajem gęsta mgła wisiała; świt zaledwie się z nocnych mroków wyłaniał. Z pagórków na rumuńskim brzegu widać było niewyraźnie kształty tureckiego pancernika, który stał po przeciwnej stronie szeroko rozlanej rzeki. Dużo on krwi napsuł Rosyanom, dużo zmarnował ich pracy przy budowie mostu na łyżwach. Ciężki, jakby senny, wcale nie zważał na pociski z polowych dział rosyjskich, bo jeżeli jaki granat uderzył o jego żelazną skorupę, to odskoczył od niej, jak groch od ściany. Ale kiedy sam ryknął ze swych armstrongów, to odrazu zmiatał do wody wszystko, co na niej było! most, mozolnie stawiany, i barki pełne żołnierskiego ludu, i zwinne rosyjskie parowce. Rozpacz brała carskich jenerałów. Wtedy młody porucznik Skrydłow, dopiero wypuszczony ze szkoły miczmanów, wsiadł z kilku majtkami do łodzi, a ledwo oni kilka razy uderzyli wiosłami po wodzie, już zniknęli we mgle i mroku. Bez szmeru, jak cień, podsunęli się pod turecki pancernik, obłożyli go torpedami, zapalili długie lonty, które w wodzie nie gasną, bo dym chroni je od zamoknięcia, i szybko się oddalili. W chwilę potem rozległ się straszliwy huk, pancernik nieco się podniósł na słupie ognia i runął w wodnistą otchłań.

Skrydłowa przedstawiono carowi. On go objął, przypiął mu do piersi krzyż św. Jerzego i rzekł: „Zuch z ciebie! Ty wysoko zajdziesz!“

I zaszedł Skrydłow wysoko, choć się już nigdy zbytnio nie fatygował. Do niedawna dowodził flotą w Sebastopolu, a teraz go posłano do Port-Artura. Tam, jako człek niemłody, a nauczony świeżem doświadczeniem Makarowa, pewnie do zuchwałych czynów nie będzie skory, bo też nie brawury tam potrzeba teraz, ale ogromnej rozwagi, nie junackich potyczek z japońską flotą, lecz przebiegłości, aby Port-Artur ocalić, utrzymać w rosyjskich rękach. Cała eskadra w tej morskiej twierdzy składa się już tylko z trzech pancerników klasy drugiej, trzech krążowników, opancerzonych jeno do połowy, i z kilku łodzi torpedowych. Gdzież takiej nikłej sile się mierzyć z pancerną eskadrą admirała Togi, liczącą jedenaście wielkich okrętów, i z eskadrą krążowników admirała Uriu! Skrydłow musi zamknąć się w porcie, aby jego okręty wspólnie z tamtejszymi fortami broniły się od japońskich szturmów. Nic innego nie ma już tam do czynienia.

Ta rola, którą eskadra port-arturska dzielnie spełniała pod flagą Makarowa, skończyła się w skutek ostatniej klęski, zakończonej stratą „Pietropawłowska“, „Pobiedy“ i „Strasznego“, Makarow obudził był energię w marynarzach rosyjskich, prędko zrobił ze swej eskadry siłę czujną i ogromnie ruchliwą. O każdej porze dnia, czy nocy, w pogodę, czy podczas burzy, wypadał on niespodziewanie ze swymi okrętami na morze i krążył po niem, jak głodny wilk, który kłapiąc zębami szuka żeru. Japończycy, którzy przedtem już się byli zupełnie rozgospodarowali w zatoce Peczyli, byli zmuszeni do bardzo krępującej ich ostrożności. Raz chcieli wysadzić całą dywizyę na półwysep Kwantuński, gdzieś w okolicy Dalniego, lecz nie mogli z powodu ustawicznych zaczepek eskadry port-arturskiej i zawrócili swe transportowe statki do Czinampo w Korei. Jest to więc Makarowa zasługą, że armia japońska nie wylądowała nigdzie na tyłach wojsk rosyjskich, rozłożonych wzdłuż prawego brzegu rzeki Jalu. Innym razem chcieli Japończycy zaatakować Niuczwan i zająć ten port, leżący na zachód od Port-Artura, w głębi zatoki Laotuńskiej, lecz znowu nie mogli z powodu ogromnej ruchliwości Makarowa. Ilekroć świeże wojska przywozili do zachodnich portów Korei, zawsze dla zabezpieczenia tego transportu musieli wykonać atak na Port-Artura i zrobili ich pięć podczas krótkich rządów Makarowa, wystrzelali mnóstwo kosztownych pocisków, zużyli ogromnie dużo węgla, stracili kilka branderów. Poczuli twardą rękę Makarowa, a nie mogli się rozwijać nigdzie indziej, oprócz Korei. Otóż ta rola floty port-arturskiej już jest skończona. Choćby wice-admirał Skrydłow był tak samo przedsiębiorczy, jak Makarow, to jednak nie potrafi działać jak on, bo ma już tylko sześć okrętów i trochę torpedowców. Z taką siłą zaledwie zdoła bronić portu.

A bronić go coraz trudniej, bo po ostatniej klęsce flota niezawodnie trochę upadła na duchu, w twierdzy czuć już niedostatek żywności, a na domiar złego ustał ruch na kolei, która z Port-Arturu biegnie do Niuczwanu i dalej w głąb Mandżuryi, aby w Charbinie połączyć się z koleją syberyjską. Między Port-Arturem a Niuczwanem jakiś most ktoś zniszczył — i oto kolej stanęła. To niezawodnie agenci japońscy wyrządzili Rosyanom taką złą psotę, albo może „chunchuzy“, czyli grassanci mandżurscy, których teraz tylu się namnożyło, że Rosyanie niemal już w każdym Mandżurze gotowi są podejrzywać chunchuza.

Marynarka rosyjska opłakuje tragiczny zgon wybitnego admirała Makarowa, w którym pokładano wielkie nadzieje; — świat artystyczny rosyjski — i nietylko rosyjski — jest w ciężkiej żałobie z powodu gwałtownej śmierci malarza Wiereszczagina. Dziwny był to człowiek! dziwny artysta i pisarz! Nienawidził wojny, a gdziekolwiek się odezwała jej trąbka, tam on natychmiast śpieszył, rzucając rodzinę, przyjaciół i wygody dostatniego życia. Zjadliwą satyrą ścigał rosyjskie porządki, czynowniczą hypokryzyę, popowski bizantynizm, niewolnicze płaszczenie się ludu, bigoteryę szachrajskiego kupiectwa i brud i ogromną prozę rosyjskiego życia, a jednak z takim zapałem pisał o wielkości caratu, jak gdyby był nadwornym panegirystą. Miał w sobie tę dwoistość natury, którą obcy spostrzegają w Rosyanach.

Sławniejszym był malarzem, niż publicystą. Lat temu równo 32 przyłączył się jako ochotnik do rosyjskiej wyprawy na Chiwę w Azyi Środkowej, patrzał na wszystkie okrucieństwa wojny i potem przedstawił je w cyklu obrazów, dyszących taką zgrozą, taką nienawiścią wojny, a szyderstwem z jej bohaterów, że wojskowych obraził, a sobie zdobył imię propagatora pokoju. Drugi taki cykl obrazów namalował po wojnie rosyjsko-tureckiej, w której także brał udział jako ochotnik. Te płótna odbyły podróż po wszystkich europejskich stolicach i wszędzie robiły silne wrażenie. Zaczęła się bokserska awantura w Chinach i tam się zaraz znalazł Wiereszczagin; zaczęła się wojna rosyjsko-japońska — on pierwszy pomknął do Władywostoku, lecz przekonawszy się, że tam nie nasyci głodu wrażeń, przeniósł się do Port-Arturu, gdzie nań czekała mściwa za jej zniesławianie śmierć „na polu chwały“.

Ze wszystkiego, co naród rosyjski stracił w ostatniej morskiej bitwie z Japonią, największą jego stratą jest zgon Wiereszczagina.

Z psychologii rozstroju.

Następujący doskonały artykuł przynosi nam ostatni numer krakowskiego *Czasu*:

Demonstracya uliczna, wymierzona przeciw członkom komitetu warszawskiego, zbierającego składki na katolicki lazaret wojenny, dała powód kilku dziennikom do wypowiedzenia swych zdań o położeniu w Królestwie. Z zestawienia tych głosów można wysnuć szereg wniosków o genezie tego smutnego zajścia.

Sam fakt, iż ulica Warszawy mogła kamieniami odpowiedzieć na wezwanie do składek, wyda się może kiedyś czemś niepojętem. W chwili, kiedy tylu naszych ginie na brzegach Oceanu Spokojnego, kiedy w celu ulżenia nędzy rannym i chorym ocknęła się dobroczynność prywatna nietylko w społeczeństwie rosyjskiem, ale również wśród Niemców, Szwedów i Finnów bez względu na ich stosunek polityczny do państwa, Polacy mogli tylko powiedzieć: Prześladowani i gnębieni nie możemy przyłączyć się do waszych okrzyków wojennych, ale słysząc o ranach i łzach, o nędzy i cierpieniu, posyłamy braciom naszym i tym, którzy wraz z nimi cierpią, zakonnicę, kapłana katolickiego i lekarza!

To nazwano zdradą.

Jakże się przedstawia analiza psychiczna tego zjawiska?

W Warszawie wybijają okna. Rzecz sama w sobie jest tak brutalna, tak nieetyczna, tak bezmyślnie głupia, iż najwięksi przeciwnicy Ligi narodowej i programu wszechpolskiego nie śmieli przypuszczać, iżby rozkaz wybijania okien wyszedł z naczelnych kół owego obozu.

Dzienniki umiarkowane i konserwatywne stanęły w pierwszej chwili wobec tego faktu, jako wobec potwornej zagadki. Podejrzenie padło na socyalistów. Odzywały się głosy, że tłumem kierowała może ręka moskiewska; z oskarżeniem przeciw organizacyi wszechpolskiej nie zwrócił się zrazu nikt.

I słusznie. Kto śledził uważnie rozprawy prasy polskiej o smutnych zajściach warszawskich, ten musiał utwierdzić się w przekonaniu, że Liga nie dała hasła do tej awantury, że o awanturze tej uprzedzona nie była, że zaskoczyło ją to niespodzianie.

Na parę tygodni przed niemądrą manifestacyą warszawską ukazała się znana odezwa Ligi narodowej. Potępiono w niej oczywiście szumnym frazesem „wiernopoddańczość i moskalofilstwo“, ale równocześnie zwrócono się z wielkim, rzec można, z daleko większym naciskiem przeciw „niewczesnym wystąpieniom“, przeciw „pierwszym próbom agitacyi w tym kierunku“, przeciw „bezmyślnym próbom, wywoływanym przez nasze własne niedojrzałe żywioły“; całkiem zaś jasno i wyraźnie powiedziano, że wszelkim podobnym agitacyom „przeciwdziałać trzeba z całą siłą“ i że „nie można pozwolić, ażeby obce rządy przez swych ajentów prowadziły nasz lud w kierunku dla nich korzystnym“.

Jeżeli już tekst tej odezwy bardzo wyraźnie zwraca się przeciw wszelkim wybijaniom szyb, to wypowiedzianym w niej myślom dodaje jeszcze siły komentarz, jaki do odezwy dołączył *Przegląd Wszechpolski*, główny organ Ligi. Zwraca on z naciskiem uwagę na niebezpieczeństwo ze strony Niemiec, „tego wielkiego, nieprzejednanego, bodaj nawet niebezpieczniejszego od Rosyi wroga“, a ustęp ten starczy za przestrogę, daną nawet tym, którzy dla dokuczenia Rosyi zechcieliby świadomie, czy nieświadomie wyświadczyć największą przysługę Prusakom.

Gdy się więc w dziennikach warszawskich ukazała odezwa X. arcybiskupa, nie zawierająca ani jednego wyrazu, potrącającego o tak zwaną „politykę ugodową“, przypuszczano całkiem logicznie, że Liga nie odpowie na nią demonstracyami ulicznemi. Gdy zaś rozeszła się wieść o demonstracyach, wzięto je za objaw z programem Ligi niezgodny.

Jesteśmy silnie przekonani, że rozumowanie to było zupełnie zgodne z prawdą. Demonstracya warszawska zaskoczyła Ligę równie niespodzianie, jak zaskoczyła nas wszystkich.

Pomijamy już wzgląd zasadniczy, nie pozwalający posądzać kogokolwiek o postępek tak szkodliwy i tak ohydny, bez jakichś dotykalnych dowodów. Nie brak atoli wskazówek, świadczących, że w kołach, bliskich Ligi, nie wiedziano o przygotowującej się burdzie, i że się nią w pierwszej chwili nie ucieszono.

Słowo Polskie powitało demonstracyę, jako robotę socyalistyczną i wyśmiało tych korespondentów z Warszawy, którzy upatrują w tem wybryk narodowego warcholstwa.

Nowa Reforma tłómaczyła sam fakt gorączkowym nastrojem umysłów. Awantury nie pochwalał nikt, absolutnie nikt, prócz socyalistów, którzy z pewnością nie byliby oddawali jej pochwał, gdyby byli w tem czuli rękę Ligi.

Zwolna rzecz się zaczęła wyjaśniać. Pokazało się, że sprężyną były tu niekarne i niesforne pierwiastki w obozie narodowej demokracyi, nie dbające o rozkazy, wychodzące ze sztabu głównego i gotowe zawsze do działania na własną rękę.

Pokazało się, że redakcya *Polaka*, prawdziwe „enfant terrible“ stronnictwa, postanowiła tym razem wyręczyć Ligę. Pokazało się, że artykuł tego pisma, podżegający wprost przeciw arcybiskupowi, został w odbitce rozrzucony po Królestwie. Liga ujrzała, że nie socyaliści zrobili jej tę niespodziankę, lecz nieujęta w karby dyscypliny lekka kawalerya własnego stronnictwa.

Z chwilą, gdy to stało się jawnem, nadeszła dla Ligi pora zdania egzaminu. Teraz musiało się pokazać, ile jest prawdy w fanfaronadach o powadze pieczątki i magicznym jej wpływie. Teraz miała się Polska dowiedzieć, czy oprócz nieszkodliwego odgrażania się Moskalom, Liga umie się zdobyć na coś więcej, czy umie się zdobyć na skarcenie śmiałków, wyrywających się samopas wbrew jej woli.

Kto chce naprawdę bawić się w rządy, ten niechaj umie karcić swawolę. Niech pokaże, że się tłumu nie boi, gdyż, inaczej, stanie się jutro jego niewolnikiem.

Liga i jej dworzanie w dziennikarstwie polskiem obierają drogę inną.

Nie ośmielono się stawić ulicy czoła, nie ośmielono się wezwać jej do posłuszeństwa.

Gdy się świat dowiedział, że to nie socyaliści byli sprawcami tej gorszącej rozpusty ulicznej, gdy się na socyalistów zwalić odpowiedzialności nie dało, gdy pozostał wybór tylko między potępieniem awantury, lub też poddaniem się zwierzchnictwu ulicy i zsolidaryzowaniem się z jej swawolą, obrano to ostatnie.

I teraz dopiero zaczęło się wychwalanie owej demonstracyi, którą w pierwszej chwili zbywano lekceważeniem. Demonstracya urosła dziś do rozmiarów wielkiego czynu i wielkiej zasługi.

Zaszedł więc wypadek klasyczny, zaszedł wypadek typowy, zasługujący, by ku nauce potomnych zapisany został w rocznikach naszych obłędów politycznych.

Oto zmartwychwstaje rząd bezimienny, zaczyna się znowu panowanie pieczątki. Przyja-

2)

Kongres dla hygieny szkolnej.

(Dokończenie).

Najmilszym i najchlubniejszym dla Polaków epizodem na kongresie był wykład prof. Guttmana z Wiednia o parkach Jordana w Krakowie i w Kołomyi, wygłoszony na wystawie, gdzie prelegent wystawił plany tych parków. Mówca opisał szczegółowo urządzenie parku, sposób administracyi, a dalej sposób prowadzenia gier i zabaw w tym parku. Wykład nadzwyczaj barwny podkreślał na każdym kroku wybitną zasługę i inicyatywę prof. Jordana, jakoteż charakter narodowy wymienionej instytucyi i wywołał prawdziwy zapał wśród uczestników. Prof. Guttman objaśnił, że radzca dworu Jordan chętnie byłby sam wziął udział w kongresie, gdyby nie to, że jest chwilowo cierpiący.

Następnie zabrał głos dyrektor gimnazyum z Gablonz dr. Kirschner i postawił wniosek, ażeby do inicyatora tak znakomitego dzieła, jakiem jest park Jordana, wysłać depeszę gratulacyjną. Wniosek przyjęto przez aklamacyę i natychmiast zredagowano telegram następujący:

„Wszyscy obecni na odczycie profesora Guttmana o parku Jordana w Krakowie przesyłają inicyatorowi wyrazy wysokiego poważania i czci, a zarazem zasyłają życzenia szybkiego powrotu do zdrowia“.

Po skończonym odczycie wyłoniła się obszerna dyskusya, w której Niemcy zwracali uwagę, że wszystkie odczyty, jakie do tej pory były wygłaszane na kongresie, mają znaczenie czysto teoretyczne — tu zaś podziwiać należy wiekopomne dzieło, które już się przyczynia w wysokim stopniu do fizycznego rozwoju młodzieży i które służyć może jako wzór godny naśladowania.

Prelegent zwrócił uwagę, że tak rysunek parku Jordana, jak i jego odczyt dają tylko słabe pojęcie o rzeczywistej wartości tego znakomitego i filantropijnego dzieła i zachęcał wszystkich interesujących się bliżej fizycznem wychowaniem młodzieży do zwiedzenia tego parku w Krakowie.

Bułgarski minister oświaty dr. Sziszmanów, który był na odczycie, zainteresował się w wysokim stopniu sprawą parku Jordana i zasięgał bliższych informacyj od Polaków i na miejscu zdjął szkic z wystawionego planu.

W poszczególnych sekcyach wygłosili Polacy następujące odczyty. Dr. Kopczyński z Warszawy przedstawił urządzenia hygieniczne szkoły handlowej warszawskiej. Jestto najwspanialsza szkoła na ziemiach polskich, utrzymywana hojnymi datkami kupców stolicy. Jak w niej wygląda strona zdrowotna, wystarczy wspomnieć, że lekarz spędza tam trzy godziny dziennie na badaniu uczniów, konferencyach z rodzinami, nauce hygieny i t. d.

Prof. Bujwid (Kraków) w swym odczycie „O pracy jako środku wychowawczym“ ukazał zebranym metodę, którą wypróbowuje na własnych dzieciach, a która polega na pracy w najszerszem tego słowa znaczeniu: w polu i warsztacie przedewszystkiem, nad książką zaś w ostatniej linii dopiero.

Dr. Bier (Kraków) omawiał sposoby oznaczenia ilości światła w szkołach, na podstawie własnych doświadczeń. Własne też doświadczenia laboratoryjne były podstawą odczytu d-ra Eugeniusza Piaseckiego o „ćwiczeniach siłowych“, który zwraca się przeciw atletycznemu kierunkowi w wychowaniu fizycznem, przyznając pierwszeństwo grom i zabawom na wolnem powietrzu, dla których skuteczną propagandę u nas prowadzi park Jordana.

Dr. Landau (Kraków) omawiał kwestyę lekarzy szkolnych w Austryi, przyczem parę uwag poświęcił też Galicyi.

Profesora Bujwida, prócz zasiadania w międzynarodowym komitecie zjazdu, spotkał też zaszczyt honorowego przewodniczenia sekcyi wychowania fizycznego.

W dyskusyach również uczestnicy-Polacy brali udział żywy, a w dyskusyi, dotyczącej badań doświadczalnych w szkole, obcy uczeni dwakroć z wszelkim szacunkiem cytowali prace naszego specyalisty w tym dziale prof. Błażka ze Lwowa.

Z reszty obrad sekcyjnych wymieniamy kilka spraw donioślejszych.

Sekcya „hygieny nauki“ zajmowała się żywo kwestyą jedno i dwurazowej nauki, która tak niedawno i u nas była na porządku dziennym. Referent kongresu dobitnie oświadczył się za zniesieniem istniejącej jeszcze w wielu szkołach niemieckich nauki popołudniowej. Niezależnie od wyniku badań doświadczalnych, którym wielu pedagogów, starszej zwłaszcza daty, odmawia wartości, referent widzi w nauce jednorazowej środek do uzyskania znacznej oszczędności czasu i zapobieżenia w ten sposób przeciążeniu pracą tak uczniów, jak nauczycieli.

Zacięty spór wybuchł z powodu kwestyi koedukacyi (wychowania wspólnego chłopców i dziewcząt). Panie fińskie, które już od 1883 roku posiadają szkoły „mieszane“ ludowe i średnie, wystąpiły z pełnym zapału protestem przeciw wywodom prof. Palmberga z Helsingforsu, podającego w wątpliwość wartość koedukacyi na podstawie danych statystycznych. Zwolenniczki szkół mieszanych nie zdołały zbić głównego zarzutu prof. Palmberga, dotyczącego szkodliwości czynienia „matury“ kwestyą mody dla panien, które po ciężkich studyach gimnazyalnych... w 85% wypadków wychodzą za mąż.

Kąpiele szkolne, które u nas zaczyna się dopiero wprowadzać w najnowszych szkołach stołecznych, są już starą instytucyą w Skandynawii, Anglii i Niemczech. Kongres też domagał się jedynie rozpowszechnienia tego dobrodziejstwa i to w formie tuszów szkolnych, oraz nauki pływania dla młodzieży po nad 10 lat, którą w lecie częściowo możnaby zastąpić godziny gimnastyki, z daleko większą dla młodzieży korzyścią.

W grupie hygieniczne rewizye uczniów, przeprowadzono wyczerpującą dyskusyę w kwestyi mających się udzielać uczniom seksualnych objaśnień i hygieny płciowej. Wygłoszono pięć referatów na ten temat, a wszyscy referenci oświadczyli się za konieczną potrzebą udzielania uczniom w tym względzie informacyi, skoro tylko dojdą do odpowiedniego wieku. Tylko co do sposobów i formy tego rodzaju pouczeń, jak niemniej w sprawie zapobiegania chorobom płciowym u uczniów, wywiązała się szeroka dyskusya, poczem z powodu ogromnej doniosłości tej kwestyi, przekazano ją raz jeszcze do rozpatrzenia nieustającej komisyi kongresowej.

Zajmował się też kongres sprawą pożywienia dla dzieci szkolnych, zwłaszcza na porę zimową. W wielu miastach niemieckich wprowadzono zasadę dawania dzieciom przed szkołą ciepłego śniadania, w Hamburgu posunięto się nawet dalej, bo w roku 1902/3 wydano na drugie śniadania dla dzieci 28.000 marek.

Na ostatniem plenarnem zebraniu kongresu wygłosił dr. James Kerr z Anglii bardzo interesujący odczyt o wentylacyi szkół. Opowiedział on, iż w Anglii ustanowiono, że najwyższy procent zawartości kwasu węglowego w powietrzu w szkołach wynosić ma $^1/_{1000}$, t. zn. że w 10.000 cm. kub. powietrza powinno być co najwyżej 10 cm. kub. kwasu węglowego. Mówca opisywał też metody wentylacyjne, jakich używa się w szkołach angielskich i amerykańskich.

Prezydent przyszłego kongresu dla hygieny szkolnej, który ma się odbyć w pierwszych dniach sierpnia r. 1907, a więc za trzy lata — sir Londer Brunton podziękował za wybór, a zastępca angielskiego ministerstwa oświaty dr. Eichholz zapewnił w imieniu swego rządu i miasta Londynu po telegraficznem porozumieniu się, że oba te czynniki uczynią wszystko, co tylko leży w ich mocy, ażeby drugi kongres wypadł jak najświetniej.

Reprezentanci Francyi dra Mathien i Jul. Gautier zaproponowali, ażeby teraz już uchwalono, iż III-ci kongres dla hygieny szkolnej odbędzie się w r. 1910 w Paryżu.

Po oficyalnem i formalnem zakończeniu kongresu przemówił jeszcze świetnie minister oświaty z Bułgaryi, dr. Sziszmanow i wyraził życzenie, ażeby w obradach tego rodzaju brali udział osobliwie ci, którzy mają moc urzeczywistnienia projektów opracowanych na kongresie, a więc naczelnicy administracyi szkolnej w różnych państwach.

zne temu rządowi gazety, ogłaszają światu, że społeczeństwo go słucha, ster losów kraju spoczywa w rękach silnych, stanowczych, dzielnych.

W tem nagle jakaś grupa, nie otrzymawszy ani rozkazu, ani wezwania, zrywa się do czynu z inicyatywy własnej. Stolica kraju staje się widownią awantury, niezgodnej z programem rządu tajnego. Czciciele pieczątki próbują wyszydzić ją zrazu i zlekceważyć. Wobec najoczywistszego dowodu niesubordynacyi jest to zupełnie naturalne.

Niebawem pokazuje się atoli, że ci, co awanturę wywołali, są silniejsi, niż przypuszczano, i że poddać się rozkazom nie myślą. Cóż wobec tego robi owa organizacya, która wyobrażała sobie, że dzierży władzę moralną nad krajem? Co robi? Kapituluje! Zwolna, nieznacznie, dzień po dniu, zbliża się coraz bardziej do tych, których w imię swego własnego manifestu powinna była potępić. Zaczyna usprawiedliwiać ich postępek, zaczyna upatrywać w nim strony dobre, a nim upłynęły trzy tygodnie, pisze hymny pochwalne na jego cześć.

Inaczej być nie może. Jest to zwykła, prawidłowa kolej wszystkich rządów bezimiennych. Strażnicy pieczęci wiedzą doskonale, że gdyby się ośmielili potępić uliczny wybryk warszawski, pieczątka ich zostałaby zdetronizowana natychmiast przez inną pieczątkę. Ażeby uniknąć tego, muszą schlebiać niesfornym, muszą pobłażać bezkarności, muszą, wbrew przekonaniu, bronić tego, co uważają za złe.

Skończyły się przechwałki, ogłaszane pompatycznie w *Przeglądzie Wszechpolskim*. Dziś każdy, kto niema bielma na oku, widzi, jak wygląda w rzeczywistości majestat najnowszego z tajnych rządów.

Rządy stoją zaufaniem lub postrachem. Ten tylko rząd jest silniejszy od wszelkich nieposłusznych mu i buntujących się przeciw niemu żywiołów, który albo większy postrach budzi, albo większe zaufanie.

W tem właśnie tkwi słabość Ligi narodowej. Czuje ona, że gdyby się naraziła żywiołom gorętszym od siebie, nie wyszłaby z tej walki zwycięsko. Nie może ona liczyć ani na postrach, ani na zaufanie. Co do postrachu, przewaga będzie po stronie tych, co wybijają okna. Gdy zaś idzie o zaufanie, to z dwóch rządów, równie bezimiennych, równie tajnych, równie żadnej pozytywnej niemających zasługi, ten będzie górą, który w swych odezwach więcej narodowi przyobieca i większą liczbę zdrajców na pastwę mu rzuci.

Czują to wszechpolacy i wolą unikać walki, w którejby uledz gotowi. Wolą ratować się ustępstwem. Wolą przyznać po namyśle, że rzucenie kamieniem na lazaret, na xiędza katolickiego, na Siostrę miłosierdzia, jest ostatecznie czynem patryotycznym. Wolą zgodzić się na dogmat, że zniewaga wyrządzona dziś w Warszawie arcybiskupowi katolickiemu, starcowi będącemu żywym symbolem duchowieństwa polskiego, Polakowi, który wygnaniem przypłacił miłość kraju, jest aktem zasługi wobec honoru narodowego.

Źle jest w narodzie, w którym sprawy tym idą torem. Zamęt, ogarniający społeczeństwo, odsłania się coraz wyraźniej. Wyraźniej, niż wszystko inne, odsłania się atoli jeden rys charakterystyczny. Widzimy, że Liga narodowa wbrew temu, co sama rozgłasza o sobie, nie jest panią umysłów w Królestwie. Nie ma ona ani posłuchu, ani powagi, któremi chełpić się lubi. Nie rozkazuje ona żywiołom gorącym, ale jest ich służebnicą pokorną. Ma odwagę wyrażania w bezimiennych odezwach swej wielkiej radości z powodu oczekiwanych klęsk rosyjskich, w które święcie wierzy, ale nie ma odwagi powiedzenia, co myśli o burdach gawiedzi.

Dla ocalenia pozorów urojonej władzy gotowa jest do ustępstw wszelakich. Szaleńcy mogą dziś śmiało pozwalać sobie. Niech miotają kamienie, na kogo im się podoba. Liga potępi ich może w duszy, ale głośno się do tego nie przyzna Wytłómaczy wszystko, uniewinni wszystko, pochwali wszystko. Szczere to może nie będzie. Ta nieszczerość, to jej ekspiacya.

Przygotujmy się na to. Los nie oszczędzi takiej ekspiacyi ani im, ani temu nieszczęśliwemu krajowi.

Bądźmy pewni, że „nasze własne niedojrzałe żywioły“, o których Liga z taką wyniosłością w swym manifeście wspomina, odczuły wybornie tę główną i nieuleczalną jej słabość; bądźmy pewni, że potrafią z niej skorzystać. Stanie się to, co się stokrotnie powtarzało w dziejach wszystkich spisków. Liga, która w naiwnej zarozumiałości wyobraża sobie, że podpis jej starczy za wszelkie nazwiska, pójdzie nie tam, gdzie iść chciała, ale tam, gdzie jej pójść każe luźna gromada, zawdzięczająca swój byt jednodniowy przypadkowemu zbiegowisku ulicznemu, działająca pod wpływem chwilowej podniety i rozpadająca się natychmiast na atomy.

Korespondent *Nowej Reformy* twierdzi, że ulica warszawska dała ugodowcom lekcyę przyzwoitości. Wyznajemy, że wybijania szyb w oknach nie uważaliśmy dotąd za najprzyzwoitszy sposób zachowania się na ulicy. Nie spierając się atoli z szanownym kolegą, ośmielamy się zauważyć, że ulica dała lekcyę jeszcze komuś innemu. Ulica dała Lidze narodowej lekcyę patryotyzmu, pojętego oczywiście tak, jak go tłum uliczny pojmuje. Liga zaś przyjęła tę lekcyę z tak przykładną pokorą, iż zasłużyła sobie najzupełniej na to, by ją coś podobnego spotykało częściej.

Gdyby nami kierowała jedynie zawiść stronnicza, gdyby nam szło wyłącznie o osłabienie ruchu wszechpolskiego i naczelnej jego władzy, moglibyśmy patrzeć w przyszłość spokojnie. Liga wzniecila prąd, którego nie umie opanować. Liga nie rozkazuje, ale słucha. Pozbawiona wpływu i rzeczywistej siły, utraci prędzej czy później pozory, które świat łudzą.

Nam atoli idzie o coś innego. Nam idzie o przyszłość Królestwa. Nas zbiera lęk na myśl o nieszczęściach, które niepojęta lekkomyślność może na kraj sprowadzić.

Co może być dziś dla tego społeczeństwa puklerzem i obroną? Tylko solidarność żywiołów umiarkowanych. Im prędzej stanie się ona faktem, tem rychlej wyjdzie na jaw niemoc wewnętrzna całej organizacyi wszechpolskiej. Wiemy doskonale, że skupienie wszystkich rozsądnych i trzeźwych ludzi może dojść do skutku jedynie drogą kompromisu. Wiemy, że przy zawieraniu kompromisów niejeden musi wyrzec się czegoś, co mu miłe i drogie, a jednak uważamy to za najważniejsze zadanie chwili. Dziś idzie nie o szczegóły programów politycznych, dziś idzie o zbudowanie zapory przeciw fali warcholstwa.

List do Redakcyi.

(W sprawie zbyt kosztownej administracyi Banku hipotecznego).

Otrzymaliśmy następujące pismo:

Uwagi Szanownej Redakcyi podane w artykule pt. „Bilans galic. Baku hipotecznego“ o nadmiernie wysokich kosztach administracyi tej instytucyi, wymagają pewnego uzupełnienia. Niejeden bowiem mógłby myśleć, że wszyscy urzędnicy Banku hipotecznego pobierają kolosalne pensye i że to jest powodem, iż administracya tej instytucyi tak dużo kosztuje. Tymczasem rzecz się ma inaczej. Urzędnicy Banku na ogół biorąc są źle płatni, natomiast kolosalne wynagrodzenie pobiera Rada nadzorcza, Dyrekcya, tudzież zaledwie kilku jej protegowanych urzędników.

W tem tkwi głównie powód tak wygórowanych kosztów administracyjnych, a w tej mierze nie ponosi żadnej winy ogół źle płatnych urzędników. W każdej innej instytucyi urzędnik, który wysłużył 35 lat i ma prawo do pełnej emerytury, bywa zwykle pensyonowany, natomiast w Banku hipotecznym dzieje się przeciwnie i ci właśnie wysłużeni panowie, którzy pobierają największe pensye, a których łatwo mogą zastąpić daleko tańsi a prawdopodobnie i zdolniejsi urzędnicy, są właśnie powodem tych nadmiernych wydatków administracyjnych, o których *Przegląd* wspomina.

Ponieważ znane mi są dokładnie stosunki Banku hipotecznego, przeto pozwalam sobie zwrócić na nie uwagę Szanownej Redakcyi.

Co i o czem piszą.

W *Nowej Reformie* zamieścił prof. Maurycy Straszewski doskonale napisane studyum pt. „Lionardo da Vinci jako badacz i filozof“, w którem zaznajamia czytelników z faktem, wielu ludziom bezwątpienia niewiadomym, że wielki twórca „Wieczerzy Pańskiej“ położył pierwszorzędne zasługi nietylko w dziedzinie sztuki, ale też na polu nauk i ogólnego postępu myśli ludzkiej. Ze studyum tego przytaczamy poniżej niektóre ustępy. Zaczyna się ono następującym opisem:

Na wiosnę roku 1498 odbyła się w Medyolanie na dworze Ludwika Moro z rodu Sforzów wielka uroczystość. Moro, który lubił uchodzić za mecenasa nauk i sztuk pięknych, urządził z niebywałą wystawnością we wspaniałej sali Rochetta dysputę uczonych „scientifico duello“, jak się tego rodzaju widowiska wówczas we Włoszech nazywały. Przybyli więc wszyscy dziekani, doktorzy i magistrzy uniwersytetu z Pawii, zasiedli ubrani w togi i birety, a posiedzenie zaczęło się od mowy napuszystej, którą na cześć księcia wygłosił jeden z rektorów, porównując go z Peryklesem, Augustem, Trajanem, Tytusem i t. d., następnie przystąpili uczeni do rozpraw nad przygotowanemi zagadnieniami. I tak np. z zakresu medycyny rozprawiano nad pytaniem: czy uzdrowienie wzroku Tobiasza przez posmarowanie jego oka żółcią z ryby dokonało się sposobem naturalnym, czy nadnaturalnym? — a dalej: czy kobieta jest istotnie dziełem przyrody niedoskonałem? Z zakresu zaś znowu filozofii rozprawiano między innemi nad pytaniem, czy „materia prima“ jest wielokształtna, czy jednoraka? Jest ona substancyą, czy akcydensem? Rozprawy były żywe i gorące, doktorzy gestykulowali, zawzięcie skakali sobie prawie do oczu, a dwór cały z księciem na czele przysłuchiwał się z zachwytem, oczywiście niewiele z tego wszystkiego rozumiejąc. Damy dworu kręciły się, szeptały między sobą, strzelając oczyma na boki, a jedna z nich odwróciła się do swojego obok sąsiada i zagadnęła go: „a cóż ty mistrzu nic nam nie powiesz, dlaczego nie bierzesz udziału w rozprawach? Dlaczego milczysz uporczywie?“. Zagadnięty w taki sposób był to mężczyzna 45-letni, o pięknej, przeciągłej twarzy, o rysach dziwnie regularnych, typu toskańskiego, nad nosem, prawie greckim, piętrzyło się czoło wyniosłe, głowę zdobiły długie włosy blond i piękna broda, oczy zadumane patrzały gdzieś w dal, a na cienkich ustach igrał uśmiech ironiczny.

Usłyszawszy słowa, do niego zwrócone, ocknął się z zadumy i zaczął wymawiać się, że on się na tem wszystkiem nie rozumie, że to rozprawy na niego za mądre, że on w mówieniu niewprawny, ale w końcu, gdy sam książę, aby dogodzić swojej faworycie, zaczął nacierać, uległ, wstąpił na katedrę i zaczął mówić o — muszlach!

Opowiadał więc, jak w samotnych wędrówkach po górach i lasach spotykał w jaskiniach skamieniałe zwierzęta morskie, na kamieniach odszukiwał wyciski różnych roślin wodnych i ryb, to wszystko zaś znajdował gdzieś wysoko i od morza daleko, wyprowadził przeto z tego wnioski, że tam, gdzie teraz jest ląd i gdzie są góry, tam kiedyś dawniej przed wiekami szumiało morze. Widocznie woda tworzy nowe, a znosi i zalewa lądy dawne; „jestem przekonany — mówił — że badanie roślin i zwierząt skamieniałych stanie się podnietą do wytworzenia zupełnie nowej wiedzy o ziemi, a to zarówno o jej przeszłości, jak i o przyszłych jej losach“. Słowa mówcy płynęły dziwnie jasno i potoczyście, od wszystkich zaś poprzednich gadanin odbijały w sposób wprost uderzający, a jednak gdy skończył, zapanowała cisza, nie odezwało się ani jedno słowo pochwały, poprostu nikt go nie rozumiał. Dziekan zaś jednego z wydziałów uniwersytetu w Pawii zwrócił się do swojego sąsiada i zapytał z uśmiechem pogardliwym, kto to jest ten, co te wszystkie bzdurstwa teraz wyplatał, a sąsiad odpowiedział mu: to Lionardo da Vinci. A skądże przybył ten jakiś doktor, czy magister? Ależ to nie jest żaden doktor — odzywa się ktoś z boku — to malarz, który maluje właśnie w Medyolanie „Wieczerzę Pańską“. Na to kiwnął uczony dziekan ręką i rzekł: „No, skoro tak, to nie dziwię się temu wszystkiemu, co tu opowiadał, bo przecież trudno żądać, aby malarz rozumiał się na prawdziwej nauce.“

Nad wywodami Lionarda rozpoczęła się w dalszym ciągu dysputa, uczeni teologowie zaczęli podnosić różne wątpliwości, Lionardo odpierał je, w końcu, nie mogąc zbić jego zapatrywań, na których poparcie przytaczał fakty naukowe, zarzucili mu kacerstwo i bezbożność. Na taki zarzut Lionardo zamilkł, niezadowolony z obrotu rozprawy, wobec tego przeciwnicy zaczęli nastawać na niego coraz gwałtowniej, aż wreszcie koniec położył wszystkiemu sam książę, zaprosiwszy uczony areopag na wieczerzę. Tak skończył się ów turniej duchowy na dworze Ludwika Moro, którego bohaterem stał się ten malarz, w Medyolanie na usługach księcia przebywający, a profesorom z Pawii nieznany Lionardo da Vinci!

Od owych czasów do dzisiaj minęły już przeszło cztery wieki! Uczeni doktorzy z Pawii, tak głośni w roku 1498, tak dumni ze swojej wiedzy i ze swojej dyalektyki, dla nas co oni znaczą? Nawet nazwisk ich nie znamy, poszły w zapomnienie! Natomiast nazwisko ich przeciwnika, który nie był ani doktorem, ani magistrem, a nawet tytułu bakałarza nie posiadał, przyświeca na naszym widnokręgu umysłowym jako jedna z gwiazd najwspanialszych.

W dalszym ciągu kreśli autor tło umysłowe u schyłku wieków średnich, od którego odbija się wielka postać Lionarda da Vinci. Przypomina, że humanizm włoski z drugiej połowy XV wieku posiada jeszcze cechy średniowieczne, okazuje cześć bałwochwalczą dla powag starożytnych i posługuje się jałową metodą komentatorską; do samodzielnego lotu myśli nie byli ci humaniści jeszcze zdolni, w starożytnych poetach, mówcach i filozofach podziwiali głównie piękności stylistyczne. Ożywczego zetknięcia myśli ludzkiej z przyrodą dokonali dopiero artyści z epoki odrodzenia. Autor tłómaczy to tem, że artysta, ażeby mógł pokonać trudności materyalne, musi przyzwyczaić się badać rzeczywistość i posiąść tajemnice techniczne sztuki, musi czerpać bezpośrednio z przyrody.

Sztuka — powiada p. Straszewski — wszędzie potrącała o prawa fizyczne lub psychiczne, wszędzie stykała się albo już z istniejącemi naukami, jak geometrya, matematyka, albo z takiemi, które dopiero rozwijać się zaczynały, jak anatomia, fizyka, — albo też z takiemi, które sama powoływała do życia, jak perspektywa, nauka o farbach, teorya oświetlenia i t. d. Można też nawet wykazać, że im trudności techniczne były większe, tem obfitszym był też plon, dostarczony przez sztuki naukom.

Następnie usiłuje autor określić cechy wyjątkowej zupełnie organizacyi umysłowej Lionarda da Vinci, który był jednym z najbardziej wszechstronnych geniuszów, jacy kiedykolwiek istnieli. Wchłonął on w siebie w latach młodzieńczych całą ówczesną wiedzę humanistyczną, oddawał się też z zapałem studyom matematycznym, mechanice i inżynieryi. W Medyolanie umysł jego dojrzewa ostatecznie i tu dopiero dochodzi on do wyników, o jakich humanistom nawet się nie śniło. W pierwszej linii idzie o nową w naukach metodę.

Aby zrozumieć — powiada p. Straszewski — na czem polegała nowa w naukach metoda, posłuchajmy najważniejszych Lionarda wywodów z jego sławnej księgi o malarstwie. Przedewszystkiem zastanowić nas musi, iż malarstwo nazywa on nietylko sztuką, ale także umiejętnością, ta ostatnia zaś jest, jak mówi: „rozumowaniem wewnętrznem, sięgającem do najpierwszych rzeczy początków“. Dlaczegoż zaś malarstwo jest umiejętnością? Oto dlatego, że bada ono i rozważa wszelkie właściwości i rodzaje kształtów, a więc kształty morza, powierzchnię ziemi, drzewa, rośliny, zwierzęta, ludzi; to wszystko malarz musi przenikać, wszystkie też gałęzie wiedzy przyrodniczej są — według jego zdania — malarstwu potrzebne. „O malarzu — odzywa się do młodszych sztuki adeptów — pamiętaj, że nie możesz być dobrym, jeżeli nie jesteś wszechwładnym panem w odtwarzaniu wszelkiego rodzaju kształtów w naturze“. Cóż więc potrzebne jest artyście prawdziwemu? Potrzeba mu trzech rzeczy: 1) Musi umieć obserwować bardzo szczegółowo świat zewnętrzny. 2) Musi posiadać znajomość praw ogólnych w zjawiskach ujawniających się. 3) Musi posiadać znajomość przyczyn. Nie trudno dostrzedz, że w tych trzech punktach tkwią wszystkie myśli przewodnie nowej metody, którą nazywamy badawczą.

W dalszym ciągu przypomina autor, że Lionardo pierwszy położył nacisk na metodę eksperymentalną, którą nazywa „stawianiem pytań przyrodzie“, oraz na znaczenie i ważność analizy, tj. szczegółowego i cząstkowego badania zjawisk. Ale według Lionarda analiza sama nie wystarcza, po niej musi przyjść uogólnienie. Tak np. pisze on w przedmowie do dzieła o perspektywie:

„Będę się starał wyliczyć zasady tej nauki jak najtreściwiej, według porządku naturalnego i matematycznego, dedukując wyniki z przyczyn, to znowu wznosząc się od wyników do praw, a dodając nadto do własnych wyników cudze, ale wiążące się z niemi“.

Autor następnie wykazuje, do jak zdumiewających wyników doszedł Lionardo dzięki tej nowej metodzie.

Nie ma — powiada on — prawie ani jednego działu wiedzy przyrodniczej nowożytnej, którąby nie zawdzięczała Lionardowi jakiejś nowej podniety. Najwięcej zrobił dla różnych części mechaniki, a także dla nauki o perspektywie. Całe życie zajmował się prawami lotu ptaków i usiłował zbudować maszynę do szybowania w przestworach powietrznych. Był wielkim inżynierem, był geologiem, który badał ukształtowanie się powierzchni ziemi i jak słyszeliśmy, na początku uczył się od skamieniałych roślin i zwierząt przeszłych losów ziemi. Ponadto był także znakomitym chemikiem, badał chemiczne własności barw, oczyszczał oleje, destylował perfumy, wymyślał różne werniksy i palne materye, topił i kombinował metale. Spotykamy u niego także pierwszy błysk teoryi o naturze płomienia, którą po nim dopiero przy końcu XVIII w. rozwinął Lavoisier. Był także akustykiem, a prawa akordu łączy z prawami perspektywy. Ponieważ do krajobrazu potrzebował Lionardo znajomości roślin, drzew i zwierząt, a więc zajmował się temi działami nauki. Spostrzeżenia jego, dotyczące morfologii i fizyologii roślin, są wprost zdumiewające.

Wobec tego stawia sobie autor pytanie dlaczego dotąd o Lionardzie jako o filozofie i badaczu tak mało wiedziano, dlaczego sławiono o wiele od niego późniejszego i płytszego Bacona jako twórcę i wskrzesiciela metody badania — i tak na nie odpowiada:

Oto stało się tak dlatego, gdyż Lionardo był za wielki, za potężny na swoje czasy, przeszedł przez życie niezrozumiany współcześni wielbili go jako mistrza w sztuce, podziwiali jego umysł nadzwyczajny, ale na jego metody i teorye patrzyli tak, jak owi doktorzy z Pawii. Nadto Lionardo sam przyczynił się do tego, iż o nim zapomniano. Był dziwakiem, pisał od strony prawej ku lewej pismem prawie nieczytelnym, a prac swoich nie ogłaszał. Wszystkie też jego rękopisy z wyjątkiem niektórych rozdziałów z rozprawy o malarstwie spoczywały do niedawna w bibliotekach. Dopiero przed niespełna 30 laty wygrzebano je i zaczęto wydawać we wspaniałych opracowaniach, aby wynagrodzić tę krzywdę, którą wyrządzono jednemu z największych geniuszów.

Mały feljeton.

Harmonia Iwasia

Sąsiad mój jest właścicielem chaty słomą krytej, stodoły grodzonej i półtora zagona gruntu „od zagumnia do granic“. Chatę jego przedziela sień na dwie strony. Wschodnią większą część zajmuje sam gospodarz, a zachodnią krowina „jak dziecko łaskawa“. Przestrzeń między okopconą strzechą a powałą zamieszkują również żyjące istoty, ale tylko w nocy. Codziennie pod wieczór schodzą się pod próg strychowi lokatorowie (między niemi sześć rodzaju żeńskiego a siódmy męskiego, otrzepują ze siebie kurz i błoto i powoli ostrożnie przekraczają próg sieni. Tu wznoszą głowy i przypatrują się ciekawie swojej górnej siedzibie, jakby ją po raz pierwszy w życiu oglądali, a następnie po szczeblach drabinki wyskakują na krawędź powały, skąd już na skrzydłach dostają się do właściwego miejsca. Na poprzecznych krokwiach siada rzędem obok siebie sześć kur, a siódmy kogut nieco dalej. Ten ostatni, to drugi gospodarz domu. On gwałtownym, przeraźliwym krzykiem ostrzega lokatorów o grożącem niebezpieczeństwie, on poważnym tonem uspokaja przelęknioną płeć brzydszą (żeńską) i on rozgłośnem pianiem budzi ze snu nietylko swoich chlebodawców, ale także wszystkich sąsiadów, osiadłych w promieniu kilkuset kroków.

Sąsiad mój nie może z tej półtorazagonowej ziemi wyżywić siebie, żony, dwojga dzieci, jednej krowy i siedmiu kur, i dlatego jest szewcem Umie on szyć wyborne buty „pasowane“, które co tygodnia w dniu targowym wywiesza na rynku na drążku. Ale z samych butów także trudno mu wyżyć i dlatego jest rolnikiem na półtorazagonowej ziemi.

W domu mojego sąsiada są jeszcze na praktyce dwaj chłopaki, obaj Iwasie, ale niejednakowi. Obaj wprawdzie uczą się kunsztu szewskiego, ale jeden przy butach myśli tylko o butach, a zaś drugi o muzyce, a że szewc zwykł w złych butach chodzić, to zapewne i muzykanta buty nie bardzo będą zdatne do tańca.

Do mojego sąsiada przychodzi zawsze w niedzielę po południu miejscowy diak z harmonią. Siada on w sadzie między śliwami i wygrywa dumki taj sumki. A Iwaś staje przy nim, nastawia uszy, otwiera oczy i patrzy tak dziwnie, jakby chciał cały wleść w harmonię. Potem wieczorem po odejściu diaka Iwaś nuci sobie zasłyszane melodye i myśli o harmonii.

Był to maj, jak maj. Kwiaty i wonie na ziemi i niebie i w duszy Iwasia, który pasł na miedzy krowę na sznurku. Krowina chrupała soczystą trawę, że aż w głowie trzeszczało, a Iwaś siedział przy niej i na szerokolistnej trawce ciachał jak słowik. A że to znowu było w kilka dni po rocznym jarmarku, więc miałem przy sobie harmonikę ustną dla Iwasia przeznaczoną. Zaśmiały mu się oczy, cmoknął mię w rękę i zaczął suwać harmoniką po ustach. Nazajutrz grał już krakowiaka.

Ostatnie już snopy zwoził mój sąsiad do stodoły. W gorącem powietrzu unosiła się woń suchych zbóż i traw i czuć było zbliżającą się jesień.

Przez kilka dni Iwaś, gdym wracał z porannej przechadzki, witał mię niemym ukłonem, stając zawsze na jednem miejscu, tuż naprzeciw bramy mojego podwórza. Zdawało mi się, jak gdyby Iwaś miał jakąś prośbę, z którą nie śmiał do mnie przystąpić. Trzeciego czy czwartego poranka Iwaś znowu stoi, patrzy na mnie, błagalnie, postępuje jeden krok i staje znowu i patrzy i myśli.

— Co tam Iwaś?

Przyskoczył do mnie i cmok mię w rękę.

— Co takiego?

Iwaś obraca kapelusz w rękach.

— Mówże.

— Diak ma harmonię — wykrztusił i westchnął.

— Wiem o tem, no i co?

— I chce kupić sobie nową — rzekł już śmielej.

— No....

— A starą chce sprzedać....

A ty masz ochotę ją kupić? — zapytałem.

— Ta prawda — zaśmiały mu się oczy.

— A pieniądze masz?

— Mam, ale brakuje mi jeszcze sześć szóstek — rzekł z cicha.

— No i? — spojrzałem w jego łagodne oczy.

Iwaś znowu pocałował mię w rękę i poprosił o pożyczkę.

— A kiedyż oddasz?

— Antoszka się wydaje, w jesieni wesele, to będę grać przez noc i oddam panu.

— Dobrze.

Od tego czasu codziennie wieczór siadał Iwaś w sadzie między śliwami i uczył się grać Nauczycielami jego były jego dusza i słuch. Po kilku tygodniach wygrywał już kołomyjki, krakowiaki i różne pieśni.

I tak szły wieczory coraz to wcześniejsze i chłodniejsze, aż zimno i szron wypędziły wszystką ptaszynę z sadu, a z nią i naszego muzykanta. Ucichło. Już ziemia skostniała i ozimina po polach zamarła, kładąc się między grudki na sen zimowy i gruda sterczała po drogach i zbliżał się mroczny czas adwentu.

Niemal codziennnie unosiły się nad miasteczkiem rozgłośne śpiewy weselników, głuszone turkotem wozów, śpieszących jakby do pożaru.

Kończył się czas wesel jesiennych.

Jednego poranku przychodzi Iwaś do naszej kuchni i stoi smutny z zaczerwienionymi oczyma.

— Co tam Iwaś? Już po weselu Antoszki?

— Już — odpowiedział z cicha i westchnął żałośnie.

— Grałeś?

— Już po mojej harmonii — i zadumał się.

— Co się stało?

— Hryńko dojechał jej końca.

— Cóż on zrobił?

Iwaś szewskim fartuchem zasłonił oczy i rzekł:

— Do północy szło dobrze, a po północy jakem wziął grać „rach-ciach-ciach“, jak Hryńko pijany nie krzyknie na mnie, że mu nie gram do jego taktu, jak nie wyrwie mi z rąk harmonii, jak nie rzuie nią o ziemię, oj. oj....

— Może jeszcze będzie co z niej?

— Nie będzie nic, bo jak Hryńko wyciął w nią swoim obcasem z podkową, tak sprężyny w harmonii ino zacherczały i wyszedł z niej dech.

— A to łajdak ten Hryńko....

— I pan majster już mi służbę wypowiedział — dodał Iwaś i zapłakał serdecznie.

— Dlaczego?

— Powiedział mi, że muzyka nie do butów.

Sądowa Wisznia, w marcu 1904.

Dr. W. Cichocki.

Wojna rosyjsko-japońska.

Tokio 18 kwietnia. Raport admirała Togo opiewa: Skombinowana flota nasza rozpoczęła, jak było ułożone, dnia 12 bm. ósmy atak na Port Artura. Czwarta i piąta flotylla kontrtorpedowców, oraz czwarta flotylla torpedowców i okręt „Koryomaru“, dotarły o godz. 12 w nocy do wjazdu do Port Artura i pomimo, że reflektory nieprzyjacielskie oświetlały cały obszar, udało im się założyć tam miny. Druga flotylla kontrtorpedowców ujrzała z brzaskiem dnia 13 bm. torpedowiec rosyjski i po 10-cio minutowej walce go zatopiła. Nie było czasu na uratowanie załogi, ponieważ zbliżał się parowiec rosyjski „Bojan“. Odkryto także i drugi torpedowiec rosyjski, gdy płynął w kierunku Lianteszan. Zaatakowaliśmy go, ale udało się mu dotrzeć do portu. Z naszej strony zostało tylko dwóch marynarzy zranionych. Trzecia eskadra dotarła do zewnętrznej przystani Portu Artura o 8-mej rano 13 bm. i poczęła ostrzeliwać statek „Bojan“, który również ogniem odpowiedział. Natychmiast wyruszyły z portu statki rosyjskie: „Nowik“, „Askold“, „Diana“, „Petropawłowsk“, „Pobieda“ i „Połtawa“ i zaatakowały nas. Nasza trzecia eskadra odpowiadała na ogień tylko od czasu do czasu i z umysłu cofała się ciągle i w ten sposób wywabiła nieprzyjaciela na 15 mil od portu. W tej chwili ukazała się nasza pierwsza eskadra, którą trzecia eskadra za pomocą telegrafu bez drutu zawiadomiła o walce, i zaatakowała nieprzyjaciela, który począł się cofać do portu. Wielki okręt wojenny typu „Petropawłowska“ najechał na zarzuconą przez nas minę i uległ zniszczeniu. O godz. 10 min. 22 spostrzegliśmy drugi okręt nieprzyjacielski, który stracił na swobodzie ruchów, ale z powodu zamieszania wśród floty nieprzyjacielskiej, nie mogliśmy stwierdzić co to za okręt. Nieprzyjacielskiej flocie udało się dotrzeć do portu. Prócz wymienionych powyżej, straty floty nieprzyjacielskiej były nieznaczne. Nasza pierwsza eskadra nie dostała się w obręb ognia nieprzyjacielskiego. O godzinie 1-szej popołudniu nasze statki cofnęły się, lecz były w pogotowiu do nowego ataku. Dnia 14 bm. 2-ga, 4-ta i 5-ta flotylla kontrtorpedowców i 9-ta flotylla torpedowców, które połączyły się o godzinie 3-ciej rano, zjawiły się znów przed Portem Artura o godz. 7-mej rano. Po za portem atoli nie było nigdzie widać okrętu nieprzyjacielskiego. Nasza pierwsza eskadra przybyła o 1-szej popołudniu, znalazła trzy porzucone przez nieprzyjaciela miny i uczyniła je nieszkodliwemi. Nasze statki „Kasuga“ i „Nishin“ brały po raz pierwszy w akcyi udział i utrzymywały ogień przez dwie godziny. Gdy nowe forty w Lianteszan uczyniono nieszkodliwymi, nasze okręty cofnęły się.

Seul 18 kwietnia. W nocy na 16-go bm. obsadziło 30 kozaków Tenczen. Obiega pogłoska, że jest to straż przednia pięciotysięcznego oddziału Ro yan, którzy mają odeprzeć Japończyków od rzeki Jalu. Pogłoska ta nie zasługuje na wiarę, gdyż oddział ten mógłby łatwo zostać przez Japończyków odcięty od armii głównej.

Petersburg 18 kwietnia. Sztab jeneralny rosyjski donosi, że nad rzeką Jalu panuje spokój.

Port Artura 18 kwietnia. W sobotę o godzinie 6 rano zjawiła się mała eskadra nieprzyjacielska na widnokręgu, oddaliła się jednak niebawem. O godz. 10 przed południem okręty nieprzyjacielskie w liczbie 23 znów się pojawiły i podzieliły na 2 grupy. Jedna ustawiła się koło Lianteszan i ostrzeliwała wybrzeża i półwysep Tygrysi. Druga grupa uformowała się naprzeciw portu i ostrzeliwała Złotą Górę i inne baterye. Ogień trwał do godz. 1 w południe. Nasze okręty odpowiadały na ogień nieprzyjacielski. Jeden strzał ugodził w japoński krążownik. Według innego doniesienia uszkodzone zostały dwa japońskie okręty. W fortyfikacyach i w mieście nie wyrządziło bombardowanie żadnych szkód. Kilku Chińczyków zginęło, dwaj Chińczycy i dwaj Rosyanie są ranni.

Tokio 18 kwietnia. Prywatne doniesienia z Korei potwierdzają, że Rosyanie w sile 20.000 ludzi koncentrują się na prawym brzegu rzeki Jalu z zamiarem stawienia oporu Japończykom przy wtargnięciu ich do Mandżuryi.

Seul 18 kwietnia. Ciało dyplomatyczne na audyencyi u cesarza wyraziło żywe ubolewanie z powodu pożaru pałacu cesarskiego.

Petersburg 18 kwietnia. Rosyjska ajencya telegraficzna donosi, że wszelkie pogłoski o rzekomych nowych stratach pancerników rosyjskich są bezpodstawne. Również nieprawdą jest, jakoby przez wysadzenie mostu w powietrze przerwane było połączenie kolejowe między Portem Artura a Niuczwan.

Paryż 18 kwietnia. Przybył tu minister dworu rosyjskiego bar. Frederiks. *Petit Parisien* sądzi, iż celem jego przybycia jest zakupno materyałów wojennych dla Rosyi.

KRONIKA.

Lwów 18 kwietnia.

Mianowanie. Cesarz zamianował nadzwyczajnego profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie dra Jana Raczyńskiego profesorem nadzwyczajnym chorób dziecięcych na Uniwersytecie lwowskim.

Odznaczenie. Cesarz nadał lekarzowi dyrekcyi policyi w Krakowie drowi Albinowi Schwarzowi tytuł radzcy cesarskiego.

Zatwierdzenie wyboru. Cesarz zatwierdził wybór p. Zdzisława Obertyńskiego, właściciela dóbr w Hujczu, na prezesa i X. Antoniego Kołpaczkiewicza, gr.-kat. proboszcza w Hujczu, na zastępcę prezesa Rady powiatowej w Rawie ruskiej.

Z Towarzystwa prawnej ochrony podatników. Do Towarzystwa przystąpiła samborska Kasa zaliczkowa rękodzielników i rolników. Zarząd Towarzystwa poruczył p. dr. Bronisławowi Dulębie sprawowanie funkcyi delegata Towarzystwa wśród ludności włościańskiej powiatu lwowskiego.

Z armii. Generał porucznik Edward Pucherna, komendant fortecy w Przemyślu, otrzymał order żelaznej korony II klasy.

Wojskowy krzyż zasługi otrzymali podpułkownicy: Emil Acht, komendant 4 p. ul. obr. kraj.; Franciszek Daute z 35 p. p. obr. kraj. w Złoczowie; Wiktor Past z 4 p. ul. obr. kraj.; Artur Habel z 36 p. p. obr. kraj. w Kołomyi. Wyrażenie najwyższego zadowolenia zakomunikowano kapitanom I klasy: Janowi Chytilowi z 17 p. p. obr. kraj. w Rzeszowie; Józefowi Rubritiusowi z 35 p. p. obr. kraj. w Złoczowie; Hugonowi Herwirschowi z 17 p. p. obr. kraj. w Rzeszowie; Ludwikowi Neudertowi z 18 p. p. obr. kraj. w Przemyślu; Albinowi Stadlerowi z 34 p. p. obr. kraj. w Jarosławiu.

Major Ignacy Kozłowski, nadliczbowy w 19 p. p. obr. kraj. we Lwowie, przeniesiony na własną prośbę w stan spoczynku, otrzymał przy tej sposobności krzyż kawalerski orderu Franciszka Józefa. Major Stanisław Puchalski, szef sztabu generalnego 45 dywizyi obr. kraj. w Przemyślu, przydzielony został do służby w sztabie generalnym armii.

W Czytelni katolickiej dnia 20 kwietnia 1904 o godz. 7 wieczorem będzie miał odczyt dr. Zygmunt Gargas p. t. „Wadliwości w wykonywaniu ustaw podatkowych“. Wstęp wolny dla członków i gości zaproszonych.

Rocznica Kilińskiego. Przy udziale marszałka krajowego hr. Stanisława Badeniego, wielu członków Rady miejskiej z prezydentem na czele i deputacyi rozmaitych korporacyj mieszczańskich, obchodzono wczoraj uroczyście rocznicę powstania Kilińskiego. Przed katedrą uszykował się pochód dziatwy szkolnej czwórkami, szły uczenice szkół średnich, ubrane w rogatywki, następnie młodzież szkół średnich, wydziałowych i ludowych. Tak udano się do parku stryjskiego, gdzie przed pomnikiem Kilińskiego składano wieńce, wypowiadano mowy i śpiewano pieśni. Wieczorem zaś odbyła się uroczystość w sali ratuszowej. Były deklamacye, śpiewy, odczyty etc.

Zupełnie rzecz naturalną, że mieszczanie i rzemieślnicy lwowscy obchodzą rocznicę Kilińskiego, bo bohater tych obchodów wyszedł właśnie ze sfer mieszczańskich i rzemieślniczych, a zresztą swoboda urządzania demonstracyi przez dojrzałe osoby uchodzi w dzisiejszych czasach niemal za kwintesencyę pojęcia swobód obywatelskich. Natomiast uważamy za rzecz wielce niewłaściwą i niepedagogiczną, aby i dziatwę szkolną zaprawiano do urządzania tego rodzaju obchodów. To nie jest dla dzieci stosowne i dziwi nas bardzo to, że aranżerowie wszystkich tego rodzaju obchodów stale posługują się dziećmi szkolnemi jako statystami. Dziecko ma uczyć się, a nie demonstrować.

Z galicyjskiego Towarzystwa muzycznego. Zapowiedziany III. koncert za rok 1903/4 odbędzie się we czwartek 21 b. m. w sali Filharmonii. — W uzupełnieniu programu dodajemy, że waryacye Sindinga, które wykonają na dwa fortepiany p. R. Kurzowa i prof. V. Kurz, należą do najwybitniejszych dzieł tego rodzaju w nowszej literaturze, a krytyka stawia je tuż po Szumanowskich waryacyach symfonicznych. — P. Langie, która przyrzekła swój współudział w koncercie, odśpiewa arye Mozarta i Händla, baladę Widora, pieśni Saint-Saënsa, Żeleńskiego, Galla i Niewiadomskiego. Akompaniament objął prof. Fr. Neuhauser.

„Schronisko pocztowych manipulantek i urzędniczek pocztowych“. Wczoraj odbyło się w sali wykładowej dyrekcyi poczt i telegrafów Walne Zgromadzenie tego humanitarnego towarzystwa i z przyjemnością można stwierdzić, że po roku zaledwie istnienia rozwija się ono nader pięknie. Celem Towarzystwa jest zapewnić urzędniczkom pocztowym w razie niezdolności do dalszej pracy, emeryturę oraz własne pomieszkanie. Pomyślny rozwój stowarzyszenia zawdzięczyć głównie należy gorliwemu poparciu i czynnej niestrudzonej pomocy p. Janowej Seferowiczowej, małżonki prezydenta poczt i telegrafów, a przewodniczącej Towarzystwa, oraz członków wydziału pp. dyrektorów Marescha i Chołodeckiego. To też w uznaniu ich zasług uchwalono na wczoraj jednogłośnie gorące podziękowanie ze strony członków Towarzystwa. Uchwalono nadto na wniosek p. Seferowiczowej zakupić jak najrychlej realność, któraby mogła służyć jako pomieszkanie dla urzędniczek pocztowych, nie mających we Lwowie rodziny, a więc skazanych na najmowanie mieszkań, często drogich a niedogodnych. Dalej na wniosek p. Marescha uchwalono urzędniczkom, należącym do Towarzystwa, które mieszkają w rodzinie, nie potrzebują schronienia, wypłacać zamiast tego po pewnym czasie rentę. Wreszcie na wniosek p. Chołodeckiego uchwalono zniżyć wkładki i wpisowe, aby w ten sposób zwiększyć liczbę członków.

Towarzystwo tatrzańskie na wczorajszem Walnem Zgromadzeniu mianowało jednogłośnie członkiem honorowym profesora dra Oswalda Balzera za usługi jego położone przy odzyskaniu Morskiego Oka. Następnie uchwalono przystąpić do budowy schroniska drewnianego nad Morskiem Okiem kosztem 40.000 koron. Wydziałowi uchwalono absolutorium; prezesem wybrano ponownie jednogłośnie hr. Antoniego Wodzickiego.

Z izby inżynierskiej. Na walnem zgromadzeniu autoryzowanych inżynierów, architektów i geometrów cywilnych galic., które odbyło się wczoraj dnia 17 kwietnia we Lwowie, wybrano prezydentem galicyjskiej izby inżynierskiej inżyniera Zygmunta Jasińskiego, wiceprezydentem architektę Juliana Cybulskiego, sekretarzem inż. Kajetana Stroińskiego, skarbnikiem inż. Seweryna Wilda. Do wydziału weszli: inż. Zygmunt Kędzierski, archit. Adolf Kuhn, inż. Bolesław Długoszowski, archit. Stanisław Chołoniewski, inż. Edmund Zieleniewski z Krakowa i inż. Jan Lempicki z Przemyśla. Jako zastępcy: inż. Antoni Fleischl i geometra Wincenty Barczewski.

Konkursa rozpisują: lwowska Izba notaryalna na posadę notaryusza w Gwoździcu. Podania do 15 maja. — Wydział Rady powiatowej w Białej na posadę sekretarza powiatowego. Płaca roczna 2.400 kor. Podania do 30 maja.

Oferty. *Gazeta Lwowska* z dnia 10 kwietnia ogłasza rozpisanie ofert na dostawę nafty, rozmaitych olei mineralnych, terpentyny, oleju lnianego, smarów, łoju, świec łojowych i stearynowych dla c. k. Dyrekcyi kolei państwowych we Lwowie. Bliższe warunki dostawy i formularze ofert można otrzymać w pomienionej Dyrekcyi. Termin do wnoszenia ofert kończy się 30 kwietnia br.

Wypadek pana Tarasiewicza. Przed paru dniami deklamował p. Tarasiewicz na koncercie w Filharmonii warszawskiej poemat Ujejskiego do marsza żałobnego Chopina. Gdy wypowiedział trzecią część utworu, padł zemdlony, gdyż wzruszenie wywarło na niego upadek. Znajdujący się w sali lekarze pośpieszyli z pomocą artyście. Odzyskawszy przytomność dokończył p. Tarasiewicz programu, na który oprócz Ujejskiego złożyły się „Król olch“ i „Uczeń czarnoksiężnika“ Goethego.

Orłowski w Krakowie. Policya austryacka odstawiła w sobotę więźnia Józefa Orłowskiego ze Szczakowej do krakowskiego sądu karnego. Dziś rozpoczyna przesłuchiwać go sędzia śledczy.

Ślub w kaplicy szkolnej. Dnia 12 b. m. odbył się we Lwowie ślub panny Karoliny Drewnowskiej, córki naczelnika warsztatów kolejowych, radzcy Ignacego Drewnowskiego, z panem Michałem Zenikiem, inżynierem z ministerstwa kolejowego. Zaślubiny odbyły się w kaplicy szkolnej, gdyż panna młoda była przez lat kilka nauczycielką w szkole. Dziatwa szkolna, która bardzo swoją nauczycielkę kochała, ..., a po ślubie arcybiskup Bilczewski nadesłał z Rzymu dla państwa młodych błogosławieństwo od Ojca świętego.

† Jan Wacław Gasztowtt, syn profesora paryskiego, Wacława Gasztowtta, znany literat, zmarł w tych dniach w Tunisie w wieku lat 30. S. p. Gasztowtt zaznajomił pierwszy Francuzów z Sienkiewiczowskiem „Quo vadis“, umieszczając pierwsze jego rozdziały w paryskiem *Bulletin polonais.* Ostatnio drukował w tem piśmie przekład powieści Rodziewiczówny „Dewajtis“.

Słuchaczki uniwersytetu lwowskiego. Z ogłoszonego sprawozdania uniwersytetu lwowskiego za ubiegłe półrocze okazuje się, że nieproporcyalnie mały procent jest słuchaczek zwyczajnych do nadzwyczajnych. Na 163 bowiem słuchaczek jest zwyczajnych zaledwie 28. Na wydziale medycyny 10, a na filozofii 18. Powodem tego anormalnego stosunku jest brak rządowych gimnazyów żeńskich, w których mogłyby się panny przygotowywać do wymaganego od słuchaczek zwyczajnych egzaminu dojrzałości, z prywatnych zaś gimnazyów mniej zamożne uczenice korzystać nie mogą.

Pod względem materyalnym znajdują się słuchaczki uniwersytetu, na ogół biorąc, nieźle, bowiem pochodzą ze sfery tak zwanej inteligencyi, a więc są średnio zamożne. Lwowianki mieszkają przy rodzicach, zamiejscowe otrzymują pomoc z domu. Przyszłość ich jednak pod względem materyalnym przedstawia się wcale niewesoło. Doktorki medycyny walczyć jeszcze muszą z pewnemi uprzedzeniami, egzaminowane zaś absolwentki wydziału filozoficznego muszą najpierw wyprzeć nauczycieli gimnazyalnych, wykładających obecnie w gimnazyach i pensyonatach żeńskich — co im nie przyjdzie z łatwością. Jeszcze smutniej przedstawia się przyszłość słuchaczek nadzwyczajnych. Te pod względem intelektualnym wywołają nadprodukcyę pseudointeligencyi, pod względem zaś materyalnym wytworzą proletaryat nauczycielski.

† **Zofia z hr. Fredrów hr. Szeptycka**, małżonka hr. Jana Szeptyckiego, członka Izby panów i posła sejmowego, a matka metropolity x. Andrzeja Szeptyckiego, umarła wczoraj popołudniu w Przyłbicach koło Jaworowa w wieku lat 67. Była to matrona wielkich cnót rodzinnych i obywatelskich, miłowała kraj gorąco, była bardzo religijna i dobroczynna. Cześć jej pamięci!

Pogrzeb tej zacnej pani odbędzie się w Przyłbicach we środę.

Zatarg aktorki z telefonistkami. Cały Paryż zajęty jest teraz zatargiem, który wybuchł między pewną aktorką, a zarządem telefonów. W Paryżu, podobnie jak i u nas, jak i wszędzie zresztą, telefonistki nie zawsze dokładnie łączą abonentów. Więc pewna aktorka irytowała się ciągle tem, że ją bardzo często łączono niewłaściwie lub rozłączano przed czasem. Kiedy miara jej cierpliwości przebraną została, nagadała przez telefon impertynencyj pannom telefonistkom. Telefonistki udały się ze skargą do swojej dyrekcyi, która zamiast wnieść skargę do sądu na ową aktorkę, postanowiła ją we własnym zarządzie ukarać, wyłączyła ją więc z sieci telefonicznej i odebrała od niej aparat. Aktorka wniosła wskutek tego skargę do ministeryum handlu. Minister jednak pochwalił zachowanie się dyrekcyi telefonów i skargę aktorki odrzucił. Wniosła więc ona teraz skargę do sądu na ministra handlu, motywując ją najprzód tem, że zapłaciła za cały rok z góry za telefon, a jej telefon odebrano, następnie, że przez odebranie jej telefonu pozbawiono ją tych praw, jakie każdy Francuz ma do zostania abonentem telefonu.

Zmarli. W Tarnowie Henryk Watzka, pułkownik 57 p. p., ozdobiony wojskowym krzyżem zasługi, w 57 roku życia.

Stan powietrza. T. o g. 6 rano + 2, w poł. + 6. Bar. 771. Podnosi się. Pochmurno.

Z rozmówek poufnych.

— Ostatnim osłem byłem, kiedym się z tobą ożenił!

— Nie bój się, wiedziałam o tem dobrze, inaczej nie byłabym za ciebie wyszła.

Widowiska i koncerty.

Teatr miejski. Dziś w poniedziałek „Gejsza“, japońska operetka w 3 a. z prologiem. Libretto Oven Halla, muzyka Sidney Jonesa. — We wtorek po raz pierwszy „Skarb,“ dramat w 3 aktach Leopolda Staffa.

Colosseum. Ostatni program w tym sezonie: Obrona Port Arthuru i wojna japońsko-rosyjska na lądzie; uratowanie rozbitków — sensacyjne obrazy bioskopowe. 6 wesołych kumoszek, atrakcya muzyczno-akrobatyczna. Melini, czarna tajemnica? — 10 nowych widowisk. W niedzielę i święta dwa przedstawienia: o godz. 4 i 8.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 16 kwietnia.

(Z). Z Waszyngtonu nadeszła wiadomość, która wywołała bardzo niemiłe wrażenie w austryackich, a jeszcze bardziej w węgierskich sferach rządowych. Przed kilku miesiącami bowiem rząd węgierski, chcąc ruch emigracyjny z Węgier, a po części także i z Austryi, odciągnąć od portów niemieckich. a skierować go na Fiume, zawarł był z angielskiem Towarzystwem okrętowem „Cunard“ układ, na mocy którego Towarzystwo to zobowiązało się przewozić emigrantów z Węgier i z Austryi do Stanów Zjednoczonych za opłatą tańszą od tej, jaką pobierają niemieckie przedsiębiorstwa transportowe. Jakkolwiek układ ten obowiązuje dopiero od paru miesięcy, wszelako skutki jego już są widoczne, a dla Niemców bardzo dotkliwe, bo w samej Bremie wsiadło na okręty niemieckie w pierwszym kwartale b. r. o dwadzieścia kilka tysięcy emigrantów mniej niż w tym samym kwartale roku ubiegłego. Tymczasem, jak donoszą z Waszyngtonu, senat Stanów Zjednoczonych zamierza zająć energiczne stanowisko przeciw temu układowi rządu węgierskiego z „Cunardem“, gdyż amerykańska komisya emigracyjna jest zdania, że taki układ jest właściwie sztucznem popieraniem emigracyi przez rząd i zachęcaniem do niej. Dlatego też zaproponowała owa komisya senatowi powzięcie uchwały, iż nie należy wcale wpuszczać na ląd amerykański takich emigrantów, którzy dostali się tam na mocy układu, zawartego przez rząd z jakiemkolwiek towarzystwem okrętowem, a będącego czy to jawnem, czy zamaskowanem popieraniem wychodźtwa.

Ostatnia klęska floty rosyjskiej pod Portem Artura, którą w pierwszej chwili targi pieniężne zgodnie z oficyalną relacyą rosyjską wzięły jako wynik nieszczęśliwego przypadku, a nie nieszczęśliwej dla Rosyan bitwy na morzu, dzięki temu właśnie poglądowi nie wywołała zbyt dotkliwych skutków dla państwowego kredytu Rosyi. Obecnie sprawa ta poszła już nieco w zapomnienie i dlatego też renta rosyjska nie spada w dalszym ciągu pomimo, że coraz bardziej utrwala się przekonanie, że flota rosyjska została pobita w otwartej walce. Natomiast japońska renta podnosi się coraz bardziej. Dzisiejszy jej kurs wynosi 67 i jest o przeszło 3% wyższy, niż przed porażką floty rosyjskiej.

Sensacyjną wiadomość przynosi dziennik *Frankfurter Zeitung*, a mianowicie, że rząd rosyjski widząc trudności, na jakie napotkać musiałoby obecnie sfinansowanie nowej wielkiej partyi renty rosyjskiej, zamierza zebrać potrzebne fundusze na dalsze prowadzenie wojny przez emisyę 5-procentowych bonów skarbowych, płatnych za 3 lata. Bonów takich chce podobno rząd rosyjski wypuścić za miliard rubli.

Akcye „Lloyda“ spadły dziś o 30 koron skutkiem pogłoski, że akcyonaryusze tego przedsiębiorstwa nie otrzymają w tym roku żadnej dywidendy. W roku ubiegłym otrzymali oni 21 koron od akcyi, czyli 2%.

§ Cennik ziemiopłodów w Krakowie z dnia 15go kwietnia 1904 r. w Hali zbożowej. Tendencya niezmieniona.

Pszenica biała 9.10—9.35, czerwona i żółta 9.00 do 9.25, węg. 9.10—9.20. Żyto krajowe 6.90 do 7.10, węgier. 7.60 do 7·75 Jęczmień browarny 7.00—7.25, na krupy 6.40—6.70, na paszę 6.10 do 6.25, owies 6.30—6.70, tatarka 7.00—7.70, kukurudza nowa 6.70—7.00, cinquantin nowa 7.00 do 7.20, Groch Wiktorya 11.50—12.00, zwykły 8.50—9.50, past. 7.25—7.75. Fasola cukr 12.50 do 13.00, długa 11.00—11.50. Fasola krótka 9.75—10.15. perłowa 11.00—11.50. Bobik 6.75—7.00. Wyka 5.50—6.00, Rzepak zimowy 9.70—10.25. Siemię lniane 9.50 do 11.00, konopne 8.70—9.20. Lnica 8.00—8.50. Mak niebieski 25.— do 27.—, szary 23.— do 24.—. Koniczyna nasienna czerwona 50. — do 68. , biała 00.00—00.00, Otręby pszenne 4.60 do 4.80, otręby żytne 4.80—5.00. Mąka czerwona 5.40—5.60. Ofagi 4.00 do 4.15. Słoma żytnia długa 2.10 do 2.20. — Siano zwyczajne 3.00—3.40. Koniczyna pastewna 4.00 do 4.20. Soczewica 13.00—16.50. Tymotka 18.00—24.—. Ceny notowane za 50 kg.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU“.

(Depesze poranne).

Budapeszt 18 kwietnia. W sejmie węgierskim dep. Kelemen (ze stronnictwa Kossutha) uzasadniał swój wniosek o rewizyę ustawy wyborczej, i proponował przyjęcie następujących zasad: Wybory mają być powszechne. Uprawniony do wyborów ma być każdy, kto płaci podatki państwowe, uczynił zadość służbie wojskowej, oraz w mowie i piśmie włada językiem węgierskim. Głosowanie ma być publiczne według gmin. Okręgi wyborcze mają być w ten sposób podzielone, aby na każdy okręg przypadało co najmniej 25% wyborców, mówiących po węgiersku. Hr. Tisza oświadczył, że nie wchodzi w *meritum* wniosku Kelemena, gdyż trudno wyznaczać ustawodawstwu z góry zasady, jakich się ma trzymać. Należy mu zostawić wolną rękę. Prosi izbę, aby wniosku tego nie stawiała na porządku dziennym. Izba uchwala w myśl żądania Tiszy.

Przystąpiono do obrad nad regulacyą płac urzędników komitatowych. Poseł Buzath imieniem partyi ludowej oświadcza, że ponieważ w ostatnich czasach podatki ogromnie wzrosły, przedłożenie to przyjmie partya ludowa tylko pod tym warunkiem, że rząd równocześnie zobowiąże się wnieść przedłożenie, oznaczające minimum egzystencyi, wolnej od podatku.

Berlin 18 kwietnia. W parlamencie niemieckim w dalszym ciągu dyskusyi nad budżetem wystąpił poseł Krzymiński przeciw ostatnim wywodom sekretarza stanu Posadowskiego i oświadczył, że sposób, w jaki pruski minister występuje przeciw Polakom, jest obrazą całej kultury. Być może, że odpowiada to obowiązkom pruskiego ministra, podburzać obywateli jednego i tego samego państwa do walki przeciw sobie. Jest to smutną zasługą kanclerza, że pod jego rządami hakatyzm rozszerzył moralne i polityczne zamięszanie na całe państwo. Oficerom zabroniono uczęszczać do polskich lokali. Zarząd poczt szykanuje ludność polską. Niesłychanem jest dalej, że rozporządzenia wstępują w miejsce ustaw, jak to się szczególniej stało w sprawie zapisywania nazwisk polskich. (Oklaski z ław polskich).

Berlin 18 kwietnia. W Izbie panów sejmu pruskiego rozpoczęła się w sobotę szczegółowa dyskusya nad przedłożeniem kolonizacyjnem. Hr. Finkelstein wywodzi, że ustawa zwraca się tylko przeciw koloniom niesolidnym. Starszy burmistrz koloński Becker twierdzi, że stosunki na Wschodzie przybrały takie kształty, iż rząd musi użyć ostrzejszej broni. Minister Hammerstein powiada, że „niebezpieczeństwo polskie“ ogromnie wzrosło. Zachodzi więc konieczność zwiększonej ochrony żywiołu niemieckiego i użycia ostrej broni. Przez przyjęcie §. 13 Niemcy zostaną ekonomicznie wzmocnieni i położy się koniec śrubowaniu cen przez banki polskie.

Baron Durant powiada, że lepiej byłoby, gdyby rząd sam zajął się kolonizacyą domen, zamiast zostawiać ją bankom. Minister rolnictwa Podbielski oświadczył, że rząd nie może zakupywać i kolonizować ziemi dla braku odpowiednich funduszów. Jeśli się chce skutecznie walczyć z Polakami, musi się uchwalić rozszerzenie akcyi na obszary, sąsiadujące z prowincyami wschodniemi. Minister wyznań i oświaty Studt wyjaśnia, że rząd przy kolonizacyi dlatego proteguje protestantów przed katolikami, ponieważ protestanci bardziej są odporni wobec polonizmu, niż katolicy.

Konstantynopol 18 kwietnia. Na onegdajszej audyencyi posła bułgarskiego Naczowicza u sułtana wymieniono wzajemnie przyjazne zapewnienia. Uwięzionych Bułgarów zaczęto uwalniać także w wilajecie adryanopolitańskim. Ułaskawieni składają przysięgę wierności i nie będą poddani pod dozór policyjny. Amnestya wywołała wśród Bułgarów bardzo dobre wrażenie, natomiast Turcy i Grecy nie są zadowoleni.

Berlin 18 kwietnia. Izba panów sejmu pruskiego przyjęła ustawę kolonizacyjną w brzmieniu, ułożonem przez komisyę, poczem odroczyła się do 9 maja.

Rzym 18 kwietnia. Przybył tu ambasador austro-węgierski hr. Lützow i złożył wizytę prezydentowi gabinetu Giolittiemu, poczem konferował z włoskim ministrem spraw zagranicznych p. Tittonim. Dziś będzie hr. Lützow przyjęty na audyencyi przez króla i wręczy mu pismo uwierzytelniające.

Berlin 18 kwietnia. Kapitan Fredler nadesłał z Okohandyi depeszę komendanta Leutweina, który donosi, że dnia 13 bm. wyruszył z Otjasasu do Okatumby przeciwko stojącym tam Hererom, którzy cofnęli się do Owrumbo, a następnie zaatakowali tam wojska niemieckie. Po 10-ciogodzinnej zaciętej walce wojska niemieckie zmusiły Hererów do odwrotu i zadały im ciężkie straty. Niemcy ponieśli następujące straty: zabici: kapitan Bagiński, jeden porucznik i 7 żołnierzy; ranni: 1 porucznik i 7 żołnierzy ciężko, 6 żołnierzy lekko.

Barcelona 18 kwietnia. Dwunastu anarchistów zniknęło stąd. Sądzą, że przez Walencyę pojechali oni na wyspy Baleary. Aresztowano 2 podejrzane osoby.

Werszat (na Węgrzech). Uwięziono 6 członków bandy fałszerzy banknotów. Zabrano im wszystkie maszyny i 500 sztuk falsyfikatów 10-koronowych.

Cetynia 18 kwietnia. Z powodu sprzeczki o rybołostwo na jeziorze Skutari, wybuchł onegdaj w miejscowości Wraca groźny zatarg między chrześcijanami a muzułmanami. 9 osób zraniono, między temi 5 chrześcijan, a jeden chrześcijanin został zabity.

Marsylia 18 kwietnia. Aresztowano tu 3 osoby pod zarzutem anarchistycznych knowań. Pewien pomocnik fryzyerski, Michał Giovanni, na zgromadzeniu publicznem wyraził mianowicie zamiar zamordowania prezydenta Francyi Loubeta podczas podróży jego do Włoch. Aresztowano także właściciela restauracyi, w której odbywało się zgromadzenie, i jeszcze jakiegoś włoskiego robotnika.

(Depesze popołudniowe).

Kraków 18 kwietnia. Obrońca zasądzonego starszego konduktora Skrzyszowskiego, dr. Lewicki, wniósł dziś zażalenie nieważności imieniem swego klienta. W sobotę wnieśli zażalenie nieważności protokolarnie do przewodniczącego radzcy Turowicza starsi konduktorowie Pilawski, Szymański i Średniawski.

Kraków 18 kwietnia. Wydział stronnictwa chrześcijańsko-ludowego odbędzie dziś w Krakowie zebranie celem porozumienia się w sprawach parlamentarnych. W zebraniu wezmą udział X. Stojałowski, Szajer, Bomba, Fijak i Skołyszewski.

Barcelona 18 kwietnia. Wczoraj o godz. 6 wieczór wybuchła na Piazza del Toros petarda. Powstała wielka panika. Szkody nie ma żadnej.

Barcelona 18 kwietnia. Król zwiedził wczoraj w towarzystwie Maury instytut katolicki. Publiczność witała go oklaskami.

Simla 18 kwietnia. Emir Afganistanu prosił wicekróla Indyj, lorda Curzona, aby mu przysłał lekarza, ponieważ wskutek wypadku z bronią palną odniósł dość ciężką ranę. Wicekról wysłał emirowi własnego lekarza.

Londyn 18 kwietnia. Księstwo Walii wyjechali dziś przedpołudniem do Wiednia.

Praga 18 kwietnia. Dziś w nocy panowała tu i w okolicy silna burza z gradem, przy t. zw. oberwaniu chmury. Niżej położone okolice zalane. Mieszkańcy z trudem mogli się ocalić. W wielu punktach komunikacya przerwana.

Korfu 18 kwietnia. Zapowiedziane odwiedziny cesarza Wilhelma odwołano w ostatniej chwili. Przygotowania na przyjęcie cesarza wstrzymano.

Debreczyn 18 kwietnia. Strejkujący robotnicy szczotkarscy odbyli pomimo zakazu policyi zgromadzenie, które reprezentant władzy rozwiązał. Następnie udali się strejkujący do miasta, niszczyli latarnie, w końcu obrzucili magistrat kamieniami. Ponieważ policya była za słabą, przybyło wojsko. Zarządzono liczne aresztowania.

Wojna.

Londyn 18 kwietnia. Do *Daily Chronicle* donoszą z Szanhajkwan pod datą wczorajszą: **Załoga parowca, który z Niuczwang przybył do Czifu, widziała flotę japońską, złożoną z 26 okrętów wojennych i 100 okrętów przewozowych, na północ od Portu Artura w zatoce czilijskiej. Flota ta udała się w kierunku północnym do zatoki Liaotong, w której głębi leży Niuczwang; przypuszczają, że pojechała do Kaiczu, na południowy wschód od Niuczwangu.** (Kaiczu jest zarazem stacyą kolei żelaznej, idącej od Portu Artura do Niuczwangu i Mukdenu. Gdyby więc wojska japońskie wylądowały w Kaiczu, to w takim razie Port Artura zostałby odcięty i naturalnie pierwej czy później wpadłby w ręce japońskie, albowiem załoga jego nie miałaby dowozu żywności. *Przyp. Red.*).

Petersburg 18 kwietnia. Rosyjska Agencya telegraficzna donosi z Portu Artura: Namiestnik Aleksiejew udał się dziś na pokład „Sewastopola“ i wywiesił na tym okręcie swą flagę, jako komendant eskadry Oceanu Spokojnego.

Petersburg 18 kwietnia. Rosyjska Agencya telegraficzna donosi: Kilku naocznych świadków potwierdza, że dnia 12 b. m. japoński krążownik uległ prawdopodobnie przez to zniszczeniu, że wjechał na własną, pływającą torpedę.

Tokio 18 kwietnia. Minister marynarki Jamamoto wyraził telegraficznie admirałowi Togo powinszowania z powodu ósmego ataku na Port Artura. W telegramie tym podnosi minister wierność i dzielność oficerów i żołnierzy, życzy im nadal powodzenia i wyraża nadzieję, że wszyscy w ten sam sposób i na przyszłość spełniać będą swe obowiązki, dopóki obecny wielki ideał narodowy nie zostanie osiągnięty. Cel ten jest jednak jeszcze daleki. Starajmy się wszyscy — kończył minister — abyśmy byli w stanie dokonać wielkiego dzieła, jakiego od nas oczekują“.

Wiedeń 18 kwietnia. (Giełda towarowa). Cukier 19·50 (stale). Spirytus 47·80—48·00 (niezmieniony). Nafta galicyjska bez zmiany.

Berlin 18 kwietnia. (Zamknięcie giełdy). (Podług obliczenia procentowego). Banknoty austryackie 85·30. Spirytus 00·00.

Paryż 18 kwietnia. (Zamknięcie giełdy). Trzyprocentowa renta 97·35. — Mąka („Fleur de Paris“) 27·70.

Budapeszt 18 kwietnia. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i 50 kilogramów). Pszenica na kwiecień 7·75—7·76, na maj 7·81—7·82, na październik 7·77—7·78; żyto na kwiecień 6·25—6·26, na październik 6·45—6·46; owies na kwiecień 5·15—5·18, na październik 5·45—5·46; kukurudza na maj 5·09—5·10, na lipiec 5·20—5·23. Rzepak na sierpień 10·90—11·00. — Oferty na pszenicę: mierne. — Chęć kupna: ograniczona. Usposobienie: słabe. Pogoda: pochmurno.

Giełda południowa (godzina 12 minut 30) Wiedeń 18 kwietnia.

Marki 117.25, renta majowa 99.85, węgierska renta koronowa 98.00, akcye: austr. zakł. kredyt. 643·00, węg. zakł. kred. 761·50, anglobanku 280.00, unionbanku 520.00, bankvereinu 514·50, länderbanku 425·00, kolei państw. 644.00, lombardy 81.50, akcye kolei Elbethal 427.00, fabryki broni 458·00, tytoniowe 000.00, alpiny 412.25. Rima Muranyi 489.00, prag. Tow. żel. 0000·00, losy tureckie 132.25, ruble 253.00. Usposobienie: spokojne.

Lwów 15 kwietnia. (Z izby handlowej).

Obliczenie w walucie koronowej.

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika po 420 Koron —.— do —.—. Kolej Lwowsko-Czern.-Jaska po 400 kor. 580.— do 586.—. Banku hipotecznego po 400 kor. 588·00 do 548.00. Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor. —.— do —.—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 500 koron 850 do 870·— Banku dla handlu i przemysłu po 400 k. 000·— do 260·—.

Listy zastawne za 100 K.: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 50 lat. z 10 proc. prem. 111·25 do 000.00. 4 i pół proc. los w 50 lat 101.50 do 102·20, 4 proc. los w 60 lat 98.80 do 99·50 Banku kraj. 4 i pół proc. los w 51 lat 102.20 do 102.90. Banku kraj. 4 proc. los w 57 lat 99·30 do 100.00 Tow. kred. Gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 99.00 do 00·00, 4 proc. los w 41 i pół latach 99·20 do —.—, 4 proc. los w 56 lat 99·50 do 100·20.

Obligi za 100 K: Gal. fund. propinacyjnego 4 prc. 99.50 — 100·20 Bukowińskiego fund. prop. 5 proc. 102.50 do —.—. Kom. Banku kraj. 5 proc. (II em.) 102.70 do 000.00. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4 procentowe po 200 koron 98.80 do 99.50. Pożyczki kraj. z roku 1873 4½ proc, —.— do —.—. 4 proc. z 1893 r. 99.80—100·00 miasta Lwowa 4 proc. po 200 koron 97.00 do 97.70, 4½% po 200 koron 00.00 do 101.80.

Ruch pociągów kolejowych

ważny od 1go października 1903 według czasu środkowo-europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2.31***, **1.30**, **8.40***, 6.10, 8.55, 5.50, 9.50*
Z Rzeszowa: 10.25.
Z Podwołoczysk: (na dworzec główny): **2.30**, 7.55, 5.80 10.20*; na Podzamcze: **2.15**, 7.35, 5.06, 10·02*.
Z Tarnopola: 3.30* (na dw. gł.) 3.09* na Podzamcze.
Z Czerniowiec: **12.20***, **1.40**, 6.20, 5.40, 9·30*.
Ze Stanisławowa: 11.15, **8.10**.
Ze Stryja: 7.45, 9.57, 1.10, 4.35, 10.40*.
Z Rawy i Sokala: 6.50, 5.55.
Z Jaworowa: 8.20, 5.20.
Z Sambora: 7·35, 10·00*.

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa: **12.45***, **8.25**, **2.50**, 4.10*, 8.55, 6.15, 10.55
Do Rzeszowa: 3.25.
Do Podwołoczysk z dworca głównego: **1.50**, 6.30, 9*—11.—*; z Podzamcza: **2.04**, 6.43, 9.20*, 11.24
Do Tarnopola: 10.40 z dw. głównego, 10.57 z Podzamcza
Do Czerniowiec: **2.51***, **2.40**, 6.22, 10.35, 10.42*.
Do Stanisławowa: 6.05*.
Do Stryja: 6.45, 9.05, 3.05, 6.40*, 11.05*
Do Rawy i Sokala: 9.40, 7.05*.
Do Jaworowa: 6.51, 3.50.
Do Sambora: 9·25, 3·40.
Do Żółkwi: 11·11* (tylko w niedziele).

Uwaga. Pociągi pospieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

41)

Dama pikowa.

(Z francuskiego.)

(Ciąg dalszy).

— P. Lecoq zachwiał się, jak człowiek, ugodzony prosto w piersi i szepnął głosem zmienionym:

— Mój syn... sprawcą zbrodni... Czy ja oszalałem... czy chcesz mnie wystawiać na próbę? Nie, to byłoby za wielkiem okrucieństwem...

— Powiadam ci prawdę, niestety, drogi przyjacielu. Jeślim aresztował pańskiego syna, to tylko z konieczności nieodzownej. I pan na mojem miejscu nie postąpiłby inaczej.

— Więc masz dowody?

— Aż nadto przekonywające. Syn pański odwiedził trupiarnię Morgi pod przebraniem. Został tam okradziony przez rzezimieszka, którego po chwili ujęto i przy którym znaleziono pugilares, zawierający portret zamordowanej kobiety, nazwisko pana de Gentilly i adres pani Lecomte. Domyślasz się dalszego ciągu. Nasz agent wyruszył do Boulogne i przywiózł mi młodzieńca, którego natychmiast przesłuchałem, nie domyślając się że jest pańskim synem... wyszło mi z myśli to drugie, przybrane nazwisko — de Gentilly.

— I on się przyznał? — pytał p. Lecoq z najwyższym niepokojem.

— Nie, zaprzeczał wszystkiemu, nie chciał się przyznać, nawet wobec dowodów niezbitych. Powiada, że nie znał tej kobiety, a jednak poznałem jego pismo na jednej z kopert, znalezionych w pawilonie przy ulicy Arbalète.

— To może być najwyżej poszlaką.

— Odkryłem jeszcze ważniejsze przy rewizyi jego apartamentu na ulicy Mont-Thabor. Ale trudno mi, kochany Lecoq, wchodzić w te szczegóły wobec pana. Powiem tylko, że pański syn po drodze do prefektury chciał przekupić naszego agenta i że następnie próbował go zabić, a wreszcie usiłował sobie życie odebrać.

— Biedny chłopiec stracił widocznie głowę... Przerażała go hańba, dlatego właśnie, że jest niewinnym; że nim jest, na to mógłbym przysiądz... i dowiodę tego niezbicie...

— Życzę panu szczerze powodzenia, lecz prawdę powiedziawszy, wątpię, by ci się to udało, bo jestem pewny, że to on przychodził do pawilonu nazajutrz po zbrodni, wśród nocy. Piédouche poznał go.

— Piédouche! On, który tak długo służył podemną, który mi tyle zawdzięcza, Piédouche go aresztował!

— Niestety, tak. Musiał spełnić swój obowiązek. Zresztą nie wiedział, kogo właściwie aresztuje... Gdyby się domyślał, że to syn pański, nie byłby go może przywiózł do prefektury. Od czasu, jak się o tem dowiedział, jest przygnębiony.

— Zobaczę go, rozmówię się z nim... musi mi pomódz w moich badaniach... bo nie odstępuję od zamiaru uniewinnienia Ludwika... Śledztwo jeszcze nie ukończone...

— Zaledwie rozpoczęte. Syn pański został odprowadzony do więzienia wczoraj o jedenastej wieczorem. Dziś go jeszcze nie badano. Sędzia śledczy jeszcze nie przybył, ale sądzę, że poprowadzi sprawę szybko. Prefekt i prokurator generalny zostali uwiadomieni o północy.

— A dziś wieczorem cały Paryż będzie wiedział, że mój syn jest mordercą! — rzekł staruszek z rozpaczą. — Za chwilę nieszczęśliwa panienka, czekająca w przyległym pokoju, dowie się, że jej narzeczony ma skończyć życie na galerach lub na gilotynie — bo go skażą na śmierć... jestem tego pewny... Pozory przemawiają przeciwko niemu... Opinia publiczna wzburzona... On nie potrafi się obronić... jest niewinnym... Ja to czuję, ja na to przysięgam.

Pan Lecoq płakał; jego boleść wzruszyła szefa policyi.

— Drogi przyjacielu — rzekł tenże, ściskając mu rękę — nie trzeba nigdy tracić nadziei. Wiesz pan lepiej odemnie, że sprawa, przedstawiająca się źle w toku śledztwa, bierze czasami obrót pomyślny. Syn pański zechce może prawdę powiedzieć, wykazać, że został wplątany do zbrodni pośrednio, mimowoli... Jeśli przedstawi *alibi*... jeśli głuchoniemy nie pozna go przy konfrontacyi...

— Prawda, jest jeszcze niemowa... on jeden może wyświetlić tę tajemnicę... on jeden może wskazać mordercę... a że nie zna mojego syna, to jestem najpewniejszy... Gdzieżby go widział? Ten człowiek nie zna Paryża... przekonaliście się o tem, zastosowawszy się do mojej rady... a Ludwik mieszka w Paryżu od lat wielu. Zróbcie więc próbę... Za jej skutek ręczę.

— Zrobimy, bądź pan spokojny, a życzę, aby wypadła pomyślnie dla podsądnego.

— Czy wolno mi widzieć się z moim synem?

— Tak. Uzyskałem to pozwolenie ze względu na usługi, które pan oddałeś prefekturze. Tylko zobaczysz go pan przy świadkach. Ja będę obecnym. Pierwsze widzenie może nastąpić dzisiaj.

— Dziękuję ci, stary przyjacielu. Za godzinę zjawię się w pańskiem biurze... Jeszcze słówko... Czy Tolbiac wie o aresztowaniu?

— Ani słowa. Powiem panu nawet, że zajmuje się on tą sprawą opieszale... Nie jesteśmy z niego zadowoleni, a jeśli nie dajemy mu odprawy, to tylko dlatego, że mało jest ludzi zdolnych.

— O nic więcej już nie pytam — rzekł p. Lecoq, odprowadzając szefa policyi.

Po jego odejściu pasował się długo ze wzburzeniem, wreszcie je opanował i powrócił do salonu, gdzie pani Lecomte z córką czekały na niego w najwyższej trwodze.

— Uspokójcie się panie — rzekł im swobodnie. — Ludwik padł ofiarą pomyłki. Powołał się na mnie, a ponieważ jestem znany i szanowany, jeden z naczelników policyi przyszedł sam opowiedzieć mi to zajście. Idę natychmiast do prefektury i mam nadzieję, że przyprowadzę paniom Ludwika niebawem... może jeszcze dzisiaj.

Teresa zarzuciła ręce na szyję p. Lecoqa i szepnęła mu na ucho:

— Powiedz mu pan, że mu przebaczam niepokój, który mi sprawił, ale przebaczam mu pod warunkiem, że nie będzie nosił na sercu innego portretu, tylko mój.

Pani Lecomte płakała z radości.

Stary Lecoq wierzył święcie w niewinność swojego syna, ale nie był tak pewnym jego uniewinnienia, jak chciał im okazać.

Jednak, po przeprowadzeniu do drzwi pań Lecomte, nie poddał się rozpaczy, ani jednej łzy nie uronił, czuł bowiem, że trzeba działać, nie zaś płakać.

Ubrał się szybko i pojechał do więzienia prefektury. Spodziewał się zastać w kancelaryi szefa policyi tajnej i miał nadzieję, że mu ułatwi widzenie się potajemnie z synem, tak, aby cały sztab policyjny nie dowiedział się, że ojciec Lecoq wmieszany jest w tę sprawę.

Pierwszą osobą, którą zobaczył przed drzwiami więzienia, był Piédouche. Stał tam, jak na warcie.

Przykro było staruszkowi patrzeć na agenta, który jego syna aresztował, panując jednak nad tem niemiłem wrażeniem, podszedł wprost do niego.

Piédouche był daleko bardziej zmieszany od p. Lecoq, bo nie mógł sobie darować, że pełniąc swój obowiązek, musiał cios taki zadać ukochanemu zwierzchnikowi.

Gniótł kapelusz w ręku i szukał jakiegoś usprawiedliwienia, ale p. Lecoq pierwszy go zagadnął.

— No i cóż mój chłopcze — rzekł dobrotliwie. — Popisałeś się wczoraj. O! nie mam ci za złe — rozumniejsi od ciebie daliby się zmamić pozorom. Twój naczelnik opowiadał mi wszystko przed chwilą i nie dziwię się, żeś takiego bąka strzelił. Fortel z pugilaresem był wyborny. Dziękuję ci, żeś postępował ostrożnie i oszczędzał tego biedaka. Mój syn ma się żenić i skandal w domu jego przyszłej teści byłby mu bardzo zaszkodził.

Piédouche nie wierzył swoim uszom i gotów był przypuścić, że staruszek oszalał z rozpaczy.

— Patrząc na niego — myślał — możnaby przypuścić, że ślub się jednak odbędzie.

— Wszystko dobrze się ułoży — ciągnął dalej Lecoq. — Twój zwierzchnik czeka na mnie i ułatwi mi widzenie z tym roztrzepańcem, któremu nie przyszło nawet na myśl powołać się na mnie, coby mu oszczędziło noclegu w więzieniu. Po pięciu minutach rozmowy, sprawa będzie załatwiona, bo mój syn musi prawdę powiedzieć. Trzeba było zacząć od tego, ale taki młodzieniaszek traci głowę, gdy zobaczy koniec nosa policyanta. Chcę, byś słyszał, jak będę z niego prawdę wyciągał. Zastukaj do drzwi, mój stary. Po co mamy stać na dworze?

— Daruje pan — bełkotał agent — ale w tej chwili nie zastanie pan syna w jego celi... Pan naczelnik postawił mnie tutaj na warcie, żebym pana poprosił o chwilkę cierpliwości.

— Gdzie jest Ludwik? Czyżby go przewieziono do Mazas? Nie, to niepodobna!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny **Wacław Masłowski.** Papier z fabryki Czerlańskiej. Z drukarni E. Winiarza